

TYGODNIK ILLUSTROWANY.

PISMO OBEJMUJĄCE

WAŻNIEJSZE WYPADKI SPÓŁCZESNE, ŻYCIORYSY ZNAKOMITYCH LUDZI,
ZABYTKI I PAMIĄTKI KRAJOWE, PODRÓŻE, POWIEŚCI I POEZYJE,
SPRAWOZDANIA Z DZIEDZINY LITERATURY, PIŚMIENNICTWA, NAUK PRZYRODZONYCH,
ROLNICTWA, PRZEMYSŁU I WYNALEZKÓW,
szkice obyczajowe i humorystyczne, typy ludowe, ubiory i kostiumy, archeologia,
i t. d. i t. d. i t. c.

TOM II.

SERIJA TRZECIA.

Od № 27 do № 53.

DR JÓZEF BIELIŃSKI.



WARSZAWA.

Nakładem i drukiem Józefa Ungra

przy ulicy Nowolipki Nr 2406 (nowy 3).

1876.

39092

Дозволено Цензурою.
Варшава 17 Декабря 1876 года.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE II SERII TRZECIEJ

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO,

od 1 lipca do 31 grudnia 1876 r.

Życiorysy ułożone są alfabetycznie, inne przedmioty porządkiem paginacji.

I. ŻYCIORYSY.

Ilość rysunków.	Stronica.
1. Brandt Józef, p. J. Wojciechowskiego.	412
1. Dworzaczek Ferdynand doktor, p. dra W. Dybka	273, 290
1. Godlewski ks. Lucyan, przez ks. Regniera.	68
Herschel William, p. A. Blydowskiego,	16, 30, 46
1. Jasiński Jan, p. W. Szymanowskiego.	193
1. Jeż Teodor Tomasz, p. W. Korotyńskiego.	1, 22
Ludwika królowa pruska.	14, 39, 47, 63
1. Magnuszewski Dominik, p. W. Zawadzkiego.	112
Mann Maurycy, p. A. Bełcikowskiego.	354
1. Palacki Franciszek, p. B. Grabowskiego.	40
Pilchowski Dawid, p. F. Suryna	58
1. Podczaszyński Bolesław, p. F. M. Sobieszczańskiego	321, 347
1. Skobel Fryderyk Kaźmirz, p. W. Ściborowskiego	373, 396
Świętopelk, książę Pomorza gdańskiego, p. F. Suryna	108, 120
1. Szermentowski Józef, p. St. M. Rz.	203
1. Walker-Cook Marya, p. S. Wiśniowskiego.	421
1. Windakiewicz Edward, p. St. M. Rz.	102

II. OPISY MIEJSCOWOŚCI, KOŚCIOŁÓW, ZAMKÓW, GMACHÓW I ZABYTKÓW PRZESZŁOŚCI.

1. Pałac i część zamku w Jabłoni, p. J. Łoskiego.	49
1. Zamek Sieniawskich w Brzeżanach, p. T. Czuleńskiego.	88
1. Miasto Przedbórz, p. M. K.	248
1. Nieco o starożytnych ubiorach kościelnych, p. F. M. S.	264
1. Rozkosz, p. J. Łoskiego.	291
1. Liszków, p. Z. Glogera.	345
1. Stary dwór w Sadowiu, p. B. Ol.	380
1. Lelów, p. t.	390

III. POWIEŚCI, OPOWIADANIA I KOMEDYE.

Przesady, komedia p. E. Lubowskiego.	6, 22, 28, 54, 70, 86, 103
Na rozdrożu, powieść przez Deotymę.	12, 28, 44, 59, 76, 92, 105
Szewskie dziecko, powieść p. T. T.	118, 131, 156, 170, 187, 200, 222, 230, 249, 267, 283, 299, 318, 334, 350, 361, 385, 402, 419, 424

Ilość rysunków.	Stronica.
Pojedynek szlchetnych, komedia p. Sewera. 150, 166, 186, 217, 234, 246, 266, 285, 310, 326, 342, 370, 384	

IV. POEZYJE.

Już po kuligu, p. F. S.	24
W górach, p. M. Konopnicką.	61
Co jej zostało, p. Maryą Elżbiętę.	103
Poeta, przez N.	122
Z przeszłości, p. A. Hanicką.	138
Burza, p. Maryą Elżbiętę.	205
Gładyator Romy, p. Feliksa Ko.	243
Fragment z poematu, p. F. M. Eysymonta.	294
Do poezji, p. J. Witkiewiczównę.	399
1. Choinka u Bozi, p. Lecha-Wandę.	407
W kościele, p. A. Konieczną.	435

V. Z DZIEDZINY ŻYCIA SPOŁECZNEGO.

Słowo o niedolach dziecięcych, przez Ojca rodziny.	169
Kobieta w Indyach, jej przeszłość i położenie, p. L. Quesnela. 255, 272, 288, 303	
Sprawa lekarek w Anglii, p. W. Niewiadomskiego.	400

VI. PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Biblioteka Donkiszota, p. E. Gebharta.	15, 32
Historja starożytna T. Korzona, p. S. W.	43
Z dziennika psychologa J. Ochorowicza, p. tegoż.	86
O różnej wartości buraków w cukrownictwie i Kurs przygotowawczy zoologii p. W. Niewiadomskiego.	102
Poradnik dla kupujących książki i ноты.	122, 138, 388, 399
Wiktor Cherbuliez, p. K. Bigot.	176, 192, 206
Synteza dwóch światów, H. Struvego, p. S. W.	414
Jan Śniadecki, Straszewskiego, przez F. K.	428

VII. PRZEGLĄD TEATRALNY.

Pierwszy występ panny Deryng, p. W.	35
Pozłacana młodzież, p. tegoż.	216

Ilość rysunków.	Stronica.
Dworacy niedoli, p. W. Noskowskiego.	258
Falszywe blaski, p. tegoż.	295
Pojedynek szlchetnych, p. t.	368

VIII. SZTUKI PIĘKNE.

1. Pomnik s. p. Madalińskiego, dzieło Syrewicza, p. L. J.	33
1. Imogena, obraz Ludwika Starr, p. t.	54
1. Cyboryum w kościele W. W. Świętych, p. t.	56
1. Odczyt u Diderota, obraz Meissoniera, p. t.	119
Sztuka włoska w epoce odrodzenia, p. M. Carrière'a. 127, 141, 159, 173, 191, 207, 240, 255, 270, 287, 304, 336, 371	
1. Pomnik malarza Skotnickiego we Florencji, p. T. J. Steckiego.	145
1. Loggetta w Wenecyi, p. L. J.	166
1. Sala odlewów w paryzkiej szkole sztuk pięknych, p. t.	214
1. Przewrócony wózek, obraz E. Lejeune'a; p. t.	225
1. Śmierć Wirginii, obraz B. de Saint-Pierre'a, p. t.	234
2. Noc i Poranek, obrazy K. Berlinga p. t.	267
1. Pomnik Heleny Hemplówny, rzeźba Syrewicza, p. t.	289
1. Odpoczynek, obraz Wastaga, p. t.	307
1. Bogata ciotka, obraz Wormsa, p. t.	350
1. Król jednozimowy, obraz du Faure'a p. t.	358
Wystawa Tow. zach. sztuk pięknych, p. J. Wojciechowskiego 358, 376, 394, 415	
1. Chrystus w chwale, rzeźba A. Pruszyńskiego, p. F. T.	405

IX. ARTYKUŁY TREŚCI MIESZANEJ.

2. Fabryka wyrobów budowlanych stolarskich, p. N.	4
Słowo o pamiątkach i pamiętnikach, p. Z. Glogera.	8
Dwa najdawniejsze opisy Warszawy, p. F. M. S.	67
2. Towarzystwo lekarskie warszawskie, p. d-ra Szokalskiego.	72
Najdawniejsze imiona męzkie i żeńskie w Polsce, p. F. M. S.	121
Widoki Warszawy, rytowane w XVI, XVII i XVIII w. p. t.	140, 151
Luźne listki (aforyzmy).	199, 211

Ilość rysunków.	Stronica.
1. Żniwiarka polska p. p. Lilpop, Rau i Loewenstein, p. S. W.	222
1. Ogrody zoologiczne Europy, p. J. Banzemera.	312 330
Swatostwo i zaślubiny u Permiaków p. J. Łopacińskiego.	410
Żdźbła i żdziebelka, przez Wielisława.	430
Początek herbów w Polsce p. F. M. S.	435

X. PRZEGLĄD MUZYCZNY.

prez Gustawa Roguskiego.	19, 410
----------------------------------	---------

XI. KORESPONDENCA TYG. ILLUSTR.

Z Poznania, p. C. 9, 75, 163, 226, 329	
Z Krakowa, p. A. B. 42, 155, 210, 282, 342	
Ze Lwowa, p. B. Z. 89, 198, 301, 367	
Z Graeffenbergá p. S. W.	171
Listy ze stolicy Węgier, p. A. Pa- wińskiego.	281, 314, 345, 366, 397
Z Wilna.	360
Z podróży po kraju, p. F. Suryna.	378

XII. Z WYSTAWY FILADELFIJSKIEJ.

Listy Sygurda Wiśniowskiego. 10, 25, 38, 215, 238, 246, 262	
1. Medal wystawy filadelfijskiej p. t.	394

XIII. ARTYKUŁY TREŚCI NAUKOWEJ.

Opozycja w Rzymie za cesarów, p. G. Boissier.	63, 80, 95, 112, 126
Instrykt i inteligencja zwierząt, p. M. N. Joly 64, 76, 56, 111, 128, 144, 158	
Milton i Cromwell, p. Alfreda Sterna. 78, 94, 110	
Krucjata filozofii oświaty. 142, 160, 173	
Serbowie, zarys etnograficzny.	175, 190
1. Kopernik jako ekonomista, p. Ar. Wołyńskiego.	180, 204, 224, 232
Wpływ ciśnienia powietrza, p. Pawła Bert.	208, 239, 254

XIV. RZECZY BIEŻĄCE.

Nekrologia półroczna, p. J. Heppena.	104
Z widowni wojny, p. A. S.	179
1. Lazaret wojskowy w Niszu.	204
Wystawa rolnicza w Szawlach, p. J. K.	219
2. Wystawa powszechna paryzka w r. 1878.	222, 352
1. Rozdanie nagród na wystawie w Szawlach.	242
1. Muzeum Kopernikowe w Rzymie, p. Artura Wołyńskiego.	276
6. Wystawa przemysłowo-rolnicza w muzeum warszawskim, p. S. Wiśniowskiego.	324, 339

XV. PODRÓŻE.

14. Przejazdka po Kurlandii, p. Ścisława S..... 124, 136, 153, 168, 184, 197, 214	
---	--

XVI. KRONIKA ZAGRANICZNA.

p. J. I. Kraszewskiego. 75, 88, 123, 212, 381, 431	
--	--

XVII. KRONIKA PARYZKA, p.

W. Ch.	26, 91, 154, 235, 296, 383
----------------	----------------------------

Ilość rysunków.	Stronica.
XVIII. KRONIKA TYGODNIO- WA, w każdym numerze.	

XIX. PRZEGLĄD POLITYCZNY, SZACHY I REBUS, w każdym numerze.

W dodatku nadzwyczajnym:

Pamiętnik młodej mężatki, powieść pani Craven, w tłumaczeniu J. Z.	
--	--

Stefan Lawrence, powieść mrs. Edward, tłumaczona z angielskiego przez Zofię Hartingh.	
---	--

DRZEWORYTY.

I. PORTRETY.

Bielowski August.	257
Brandt Józef.	413
Dworzaczek Ferdynand.	273
Fredro hr. Aleksander.	80
Godlewski ks. Lucyan.	69
Jasiński Jan.	193
Jeż Teodor Tomasz.	1
Magnuszewski Dominik	113
Palacki Franciszek.	40
Pończaszynski Bolesław.	321
Skobel Fryderyk.	373
Szermentowski Józef.	201
Walker-Cook Marta.	421
Washington.	328
Windakiewicz Edward.	104
Wołowski Ludwik	129

II. RYSUNKI MIEJSCOWOŚCI I GMA- CHÓW.

Dynaburg	136
Dwór modrzewiowy w Sadowiu.	380
2. Fabryka wyrobów budowlanych.	4
Lelów, zwaliska klasztoru ks. franci- szkanów.	388
Liszków.	344
Nowy ogród zoologiczny w Frankfur- cie nad Menem.	332
Poczta listowa.	337
Pałac i część parku w Jabłoni.	49
Przedbórz.	248
13. Przejazdka po Kurlandii. 151, 164, 184, 185, 197, 216	
Rozkosz.	296
Sokolica w Pioninach.	83
2. Towarzystwo lekarskie w Warszawie. 69, 72	
Ulica w Wenecji.	36
Wnętrze szkoły sztuk pięknych w Pa- ryżu.	212
Wnętrze pracowni ś. p. Aleksandra hr. Fredry.	101
9. Wystawa powszechna w Filadelfii. 24, 37, 40, 52, 100	
2. Wystawa powszechna w Paryżu w r. 1878.	221, 348
6. Wystawa przemysłowo-rolnicza. 324, 340, 360	
Zamek w Brzeżanach.	88

III. SZKICE CHARAKTERYSTYCZNE I HUMORYSTYCZNE.

Jasnie pan chce krzywdy biednego Żydka.	85
Nowe prawa nowego postępu	120
Na bocznym trakcie	161
Za bezcen.	168
Przyzwyczajenie jest drugą naturą.	200

	Stronica
Pod kościołem.	229
Oho, Zagraj prowadzi!	243
Dobicie targu.	304
Żydowską brykę.	312
Do profesora na stancyę.	341
Dobra szkoła.	353
Wigilia św. Andrzeja.	364
Złudzenie optyczne.	428

IV. RYSUNKI BEZ ARTYKUŁÓW I KOPIE OBRAZÓW.

Ambulans polowy.	424
Bałagula.	236
Bogata ciotka.	349
Daremna pokusa.	97
Don Juan.	261
Edukacja Azorka.	177
Elegia.	392
Jarmark w Bałcie.	148
Imogena.	53
Kopia gobelinowa.	432
Lekcyja muzyki.	325
Łąka leśna.	228
Mały pomocnik.	365
Matka.	276
Młodość.	18, 197
Na przepięgu.	391
Niebezpieczna opieka.	65
Noc i Poranek.	268, 269
Odczyt u Diderota.	117
Odpoczynek.	308
Ostatni dzień Pompei.	317
Powrót z targu na konie.	8.
Pracownia Józefa Brandta w Mona- chium.	416
Przed Loggettą w Wenecji.	165
Przed oknem wystawy gwiazdkowej.	408
Przewrócony wózek.	225
Przy czytaniu.	232
Rekwizycya.	292
Rozmarzona.	17
Sabat w miasteczku.	133
Starość.	19
Śmierć Wirginii.	233
Wesele góralskie.	68
Wiązanie przy żniwie.	116
W ogródku chrześnej matki.	245
Wyjazd „króla jednozímowego”	356
Wyprowadzenie zwłok Aleksandra hr. Fredry.	132
Zaloty przy studni.	208
Zwycięzca.	376

V. RYSUNKI RÓŻNE.

Chrystus w chwale	405
Choińska u Bozi.	409
Cyboryum dla kościoła W. W. Świę- tych.	56
Karta Turcyi europejskiej.	73
Kopernik na sejmie w Grudziądzu.	180
Medal wystawy filadelfijskiej	396
Młodzi Grecy w meczecie.	433
Niewdzięczny!	5
Odrzwia w klasztorze tyńieckim.	412
Ornat gobelinowy.	264
Pan młody i panna młoda.	260
Pomnik malarza Skotnickiego we Flo- rencji.	144
Pomnik generała Madalińskiego.	33
Pomnik Heleny Hemplówny.	288
Rozdanie nagród na wystawie w Szawlach.	241
Rzeźby z muzeum Kopernikowego w Rzymie.	277
Scena z „Emigracyi chłopskiej”	309
Z widowni wojny 188, 189, 201, 220, 252, 253, 280, 293, 316	
Żniwiarka polska.	220



N^o 27.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 1 lipca 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.

Treść numeru. Teodor Tomasz Jeż (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Niewdzięczny!... (z drzeworytem). — Fabryka wyrobów budowlanych stolarskich (z 2 drzeworytami). — Przesady, komedia w pięciu aktach (dalszy ciąg). — Przegląd polityczny. — Słówko o pamiątkach i pamiętnikach. — Powrót z targu na konie (drzeworyt). — Szachy. — Rebus. — Koresponden-
cya z Poznania. — Listy z wystawy filadelfijskiej. — Na rozdrożu, powieść (dalszy ciąg). — Ludwika królowa pruska. — Biblioteka Donkiszota. — Wiliam Herschel. — Pamiętnik młodej mężatki, po-
wieść pani Craven.



Teodor Tomasz Jeż.

Mamy przed sobą już dwa tomy zbiorowego wydania *Dzieł* Teodora Tomasza Jeża, wychodzących od początku r. b. we Lwowie. W wydaniu tym ma się zawrzeć około trzydziestu większych utworów i znaczna liczba pomniejszych, zarówno osnowy beletrystycznej, jak naukowej. Nastrożyc się tedy sposobność krytyce—o ile nie zaśpi rzezy, jak to u nas częstokroć się zdarza—objąć jedynym spojrzeniem całkowitą dwudziestoletnią działalność utalentowanego i wpływowego pisarza, wykazać jej zalety i pożytki, a jeśli potrzeba, to i wady. Kto zna Jeża od czasu, gdy po raz pierwszy ukazały się jego mistrzowskie fotografie Wołoszczyzny w listach do *Gazety Warszawskiej* 1856 r., kto śledził go w różnorodnych przejawach twórczości po wszystkich niemal wybitniejszych czasopismach warszawskich i galicyjskich, ten bez namysłu przyzna, że taki wsteczny rzut oka na jego zawód pisarski z prawa mu się należy. Nie byłoby to nawet bez istotnego pożytku dla rozpatrzenia się ogółu w swoim jestestwie literackim chwili bieżącej, której autor *Handzia Zahornickiej* jest jednym z najwyrazistszych przedstawicieli. Spodziwać się tedy należy, iż chwila stosowna do szerszego i głębszego zastanowienia się nad Jeżem nie będzie zaniedbana, jak to dotąd widzieliśmy na Kraszewskim, którego zbiorowe wydawnictwo już dosięgło seciny tomów, pośród uroczystego milczenia.

Nim jednak milczenie się przerwie, chcemy w nierównie skromniejszym zakresie poznać czytelników z nieznaną dotąd pomiędzy nami osobistością Jeża i rzucić choćby okiem na ogół jego zawodu pisarskiego. Długoletnie jego współpracownictwo w *Tygodniku Ilustrowanym* nie tylko nie będzie ku temu przeszkodą, lecz owszem, posłuży za próbierz dla czytelnika.

Ojciec naszego pisarza, Józef Miłkowski, żołnierz napoleoński, następnie porucznik w pulku ułanów b. wojska polskiego, nareszcie sędzia graniczny w powiecie bałckim, gubernii podolskiej, ożeniony z Balbiną z Brudzewskich, gospodarzył z razu na własnym kawalku ziemi, potem zaś, podupadłszy na majątku, chodził dzierżawą. Oboje rodzice, w pomysłowości i niepowodzeniu, enotliwym obyczajem i sercem otwartym jednali sobie życzliwość ludzką i szacunek, który otaczał ich aż do zgonu, zaszłego w ciągu jednego tygodnia 1873 roku, w Mohylowie nad Dniestrem. Z pięciu ich synów i dwóch córek najstarszym był Zygmunt Fortunat, znany szeroko pod pseudonimem Jeża, urodzony w r. 1824 w Saracei, wiosce leżącej nad Dniestrem, w powiecie bałckim, będącej wówczas własnością jego ojca.

Pierwiastki najtroskliwszego wychowania, miłość rzeczy rodzinnych, pociąg do literatury krajowej zaszczerpiono w nim w domu. Anielska dobroć matki, surowe enoty ojca świeciły dziatwie przykładem; miłość wzajemna rodziny osładzała najtrudniejsze obowiązki i wdrażała do ich pełnienia młodzież. Któż zresztą nie wie o dobrodziejstwach czystej atmosfery życia rodzinnego? kto nie wie o zgubnych skutkach zarażenia jej trującymi wyziewami? W czwartym pokoleniu, według słów Pisma, sprawiedliwość Boża mści się za winy ojców; więc i enotom równie trwała być musi dana skuteczność. Owszem, trwała być musi, bo inaczej nie byłoby w świecie postępu.

W dziewiątym roku życia oddano Zygmunta do gimnazjum w Niemirowie, miasteczku pamiętnym z wielokrotnych klęsk, zadawanych ręką Tatarów i Kozaków, leżącym w dzisiejszym powiecie braclawskim. Gimnazjum tameczne, świeżo wówczas powstałe ze szkoły powiatowej, po zwinięciu słynnego gimnazjum podolskiego w Winnicy, nie miało jeszcze ani wprawy nabytej doświadczeniem, ani jednolitości kierunku, słowem nie miało tradycji, która z czasem dopiero się wyrabia. Niemniej przeto młodzian dobrze się uczył, ukończył gimnazjum z powodzeniem i tym sposobem utworował sobie drogę do liceum odeskiego, do którego wstąpił na wydział fizyczno-matematycz-

ny. I tam również nie stronił od pracy, otrzymał medal złoty za rozprawę konkursową i ukończył nauki ze stopniem „rzeczywistego studenta.“ Następnie udał się do Kijowa, z zamiarem posuwania się dalej drogą naukową; przygotowywał się też do egzaminu na kandydata nauk matematycznych w tamecznym uniwersytecie, zamiaru tego jednak do skutku już nie doprowadził. Spędziwszy rok w Kijowie, nie stanął do egzaminu, lecz wstąpił na krótko do szeregów wojskowych, poczem udał się w r. 1848 za granicę.

W r. 1850 nasz powieściopisarz znajdował się na okręcie, który dnia 19 kwietnia t. r. rozbił się u brzegów afrykańskich, w bejostwie tunetańskim. Ocalony od śmierci, odesłany został przez beja, wspólnie z innymi rozbitkami, na Malte, skąd opłynawszy Europę, przez cieśninę gibraltarską dostali się do Anglii.

Wielka Brytania od lat już wielu słynie z gościnności dla przybyszów; gościnność ta jednak odznacza się umiarkowaniem, we wszystkim właściwym Anglikom. Swoboda osobista jaknajwiększa, bezpłatne oddychanie ile tylko czystem powietrzem, tudzież mniej więcej bezpłatne czerpanie dłonią wody z Tamizy, zapewnione jest każdemu przychodniowi. Z tym wszystkim Jeż przez pierwsze dni dziesięć pobytu w Londynie, jał zaledwo dwa razy, dopóki nie znalazł roboty i zarobku w fabryce obić niejakiego Hawlet'a, w której pracował przez półtora roku. Zaczął od tego, że izbę zamiatał, w kominie palił, wodę nosił i bywał zaprzegany do wózka, dla odwożenia obić do fabryki; skończył zaś na tém, iż został artystą w wydziale deseniovym. Żałujemy iż tych rysunków Jeża nikt już pewno nie zdoła porównać ze wzorami obić angielskich przed jego wystąpieniem. Ani wątpliwość, że jego współpracownictwo dodać musiało nieco wdzięku, ujął nieco sztywności wyrobom angielskim. Może na tém ucierpiała praktyczność, ale „za wszystko płacić trzeba“...

Cóżkolwiek bądź, „praktyczność“ Anglii nie zdołała przykuć do siebie Jeża. W r. 1852 opuścił Albion, udając się przez Francją i Turcyę do Mołdawii, gdzie pozostał do 1853 r. Czas wojny wschodniej przebył częścią w Turcyi, częścią w Serbii, jako świadek działań wojennych, w których nie brał czynnego udziału. W następnych po wojnie latach 1856—1857 mieszkał w Stambule, krwawo się mżoląc na kawałek chleba. Zarabiał na życie, chwytając się pracy, jaka się tylko nadarzała: nauczycielstwa, buchalteryi, nawet kucharstwa i t. p. W Stambule też po raz pierwszy ujął pióro, jako sochę do orania ciężkiej gleby literackiej. Za podjętą ku temu posłużyło mu towarzystwo powieściopisarza i poety Henryka Jabłońskiego, oraz poety i badacza Karola Brzozowskiego, a za przymus serdeczne stosunki z Kaźmirzem Kozłowskim. Pod wpływem dwóch pierwszych, a za naleganiem ostatniego, ukazały się we Lwowie dwa najdawniejsze utwory Jeża, napisane w Konstantynopolu: *Pamiętniki włóczęgi*, zawierające wspomnienia wędrówek po Bułgarii, tudzież powieść *Wasyl Holub*. Do téjże epoki odnoszą się słynne swojego czasu korespondencye, drukowane w „Gazecie Warszawskiej.“

Odtąd ślady swoich wędrówek po świecie Jeż ciągle już znaczą utworami pisarskimi. W r. 1857 wyjechał do Paryża; był potem w Londynie; w 1861, poślubiwszy Zofię Wróblewską, córkę właściciela Czortkowa w Galicyi, zamieszkał w Michalenach w Mołdawii; w 1864 roku przeniósł się do Białogrodu w Serbii; w 1867 wyjechał ztamtąd do Brukselli, a nareszcie w r. 1872 osiadł w Lozannie w Szwajcaryi, by dać pięciorgu swój dziatwy możliwie najlepsze wychowanie. W Paryżu wyszedł z pod pióra Jeża *Szandor Kowacz*, w Londynie *Handzia Zahornicka*, w Foltyczanach *Historja o pra-pra-wniku*, w Botuszanach i Jassach *Historja o pra-pra-dziadku*, w Michalenach *Krwawce dzieje*, w Lozannie *Dachijszczyn* i t. d. Możliwy powiedzieć, zmieniając znaczenie słynnego wiersza poety: „Gdzie nogą stąpi, świeży kwiat wyrasta.“ (Dokończenie nastąpi.)

Zeszłobotnie przedstawienie, na korzyść niezamożnych uczniów i uczenie warszawskiego Instytutu muzycznego, pomimo licznych i nieuniknionych swych niedostatków, w całości jednak miłe na nas zrobiło wrażenie.

Mimochodem tu tylko wspomniemy o dosyć raźnie i śmiało, choć niezawsze szczęśliwie odegranych komedjach, jako w zakres popisu szkoły muzycznej nie wchodzących. Wiemy wprawdzie że zarząd Instytutu pragnąłby dotychczasową swą klasę deklamacyi zamienić w szkołę dramatyczną i szczerze pragnęlibyśmy urzeczywistnienia tego zamiaru, który, po zwinięciu zwłaszcza szkoły dawniej przy teatrze warszawskim istniejącej, uważamy za bardzo pożyteczny—lecz w takim razie prosiłoby się, aby publiczności naszej, zamiast niedojrzałych jeszcze owoców z pola scenicznego, przedstawiano raczej oderwane ustępy, monologi dramatyczne, lub bodaj poematy, deklamowane pojedynczo przez uczniów i uczennice Instytutu. Taki popis nierównie lepiej świadczyłby o postępach młodzieży, aniżeli podejmowanie zadań, do których siły jej dotąd nie dorosły.

Wykonanie zato części muzycznej przekonało nas, że Instytut, przy dłuższej a wytrwałej w tym kierunku działalności, mógłby z czasem i operze naszej dostarczyć pewnego kontyngensu wyrobionych już śpiewaków i śpiewaczek. Przy odegraniu pierwszego aktu „Tajemnego małżeństwa“ Cimarosi odznaczyła się szczególnie panna Szwarzenberg, w roli Karoliny. Panna S., obok przyjemnej powierzchowności, ma głos niewielki, ale miły i wcale umiejętnie władać nim potrafi. Ona też jedna tylko umiała chodzić i ruszać się na scenie z niewymuszoną swobodą. Ślady pewnego talentu spostrzegliśmy także w panu Jakonczie (bankier Hieronim), o innych... zamilczéć wolimy, chociaż robili co mogli i jak mogli.

Orkiestra, pod kierunkiem p. Rozańskiego, profesora Instytutu, z zadania swojego wywiązała się dobrze.

Z *wianków* nie mamy wspomnień żadnych. Zewnętrzna świetność, stroje zbytkowne, przesadzanie się w złe zrozumianej wykwińności, która najczęściej pochłania szczęście i spokój rodzin—oto cecha uroczystujących tłumów, zarówno przy procesjach Bożego Ciała, jak na tradycyjnych, poetycznych niegdys wiankach. I wianki bywają też doskonałym pozorem dla tych, co chcą pokazać siebie, lub obaczyć drugich.

A wśród takiej świetności, wśród jedwabów, sążnistych ogonów, przy tych zbytkownych toaletach—jakże blade, jak bezbarwne wyglądają te tłumy, co nie umieją ani się bawić, ani unosić... Przyszły, popatrzyły po sobie samych i... ziewając odeszły.

Na szarą wodzie Wisły płynęły wianki, ale po to tylko, aby stały się parodią dawnych. Nikt się za nimi nie uganiał. Co prawda, kucharki warszawskie nie cieszą się zbyt świetną sławą. Wątpimy bowiem bardzo, aby inne dziewczęta chciały losy swe powierzać wodnemu turniejowi, wiedząc aż nadto dobrze, że w czasach w których żyjemy, kota w worku targować nie można. Niegdys, gdy nieznanymi wielbiciele gotów był utonąć w pogoni za wiązką kwiecica, rzuconego przez ukochaną, warto była wierzyć, ufać i... marzyć. Ale dzisiaj!

I oto rzecz została, lecz symbol w krainę poezyi uleciał, może dlatego tylko, że mu wśród prozy dzisiejszej niezbyt wygodnie na ziemi.

O zabawie niedzielnej toż samo dałoby się powiedzieć. Jakiś chłód—nie czerwcowy—wiał od nieba i od ludzi. Wisząca nad głowami niepogoda straszyla trwożne serca, a zimno zniechęciło widocznie... letnie stroje i stroiki.

O ile sądzić można było z zaludnienia Saskiego ogrodu w różnych godzinach zabawy, nie przyniosła ona ubogim zbyt wielkiego funduszu. Efektowny szampan zawiódł... co nas bynajmniej nie martwi. Szkoda tylko że widowiska sceniczne nie dopisały. Muzyce zebrana publiczność przysłuchiwała się z zamiłowaniem, a było jej podostatkiem.

Czy zabawa ta powtórzy się jeszcze—nie wiemy, ale ze względu na drobny zapewne zysk, jaki ubogim przyniosła, powtórzyćby się powinna. W rozpoczynającym się lipcu niebo może będzie łaskawsze, pogoda trwalsza, jaśniejsze słońce, a więc i powodzenie pewniejszym byćby mogło.

Nakładem, staraniem, pracą i drukiem Instytutu głuchoniemych wyszedł „Kurs nauki języka polskiego“ na klasę czwartą, obejmujący powtórzenie wykładu z klasy trzeciej i naukę o przyimkach i przysłówkach.

O wartości tej książki mówić tu nie będziemy, należy się jej bowiem rozbiór sumienny i wyczerpujący, który nie może mieć nic wspólnego ze wzmianką kronikarską. Natomiast wolno nam na tym miejscu wypowiedzieć słowa serdecznego uznania dla działalności Instytutu, który w wydawanych przez siebie podręcznikach naukowych chlubną jej pozostawia pamiątkę.

Widok tych książek, układanych z takim mozolem, opracowanych w celu wspomnienia pedagogicznych trudów tych, co rozświetlają myśli dzieci pozbawionych mowy, smutne jednak czyni na nas wrażenie: Dla kogo się to pisze i drukuje?... Wszak sam Instytut oszczędziłby się bez tych wyborczych podręczników; jego nauczyciele wcale ich nie potrzebują, bo posiadają gruntowną w swoich przedmiotach wiedzę i długoletnie doświadczenie. Któż więc z nich korzystać będzie, gdy istotnie, oprócz samego Instytutu, nikt więcej wychowywaniem głuchoniemych się nie zajmuje?

W roku zaprzeszłym, z okazji jubileuszu księdza Falkowskiego, założyciela Instytutu, mówiliśmy szeroko o potrzebie zakładania szkół dla głuchoniemych po większych miastach kraju. Gorąca nasza odezwa zdawała się nawet budzić pewną czujność pod tym względem... już tu i owdzie odywały się głosy z inicjatywą... Ale niestety! głosy te rychło przycichły i piękna myśl zamarała w bezczynności tych, co wpływami swoimi mogliby tu zrobić bardzo wiele. Tysiące dziatek upośledzonych najsmutniejszym kalęctwem znowu straciło nadzieję wejścia do społeczeństwa, jako pożyteczni jego członkowie; Instytut głuchoniemych widzi z boleścią, że nikt trudom jego z pomocą nie przychodzi, a wysiłki jego najszlachetniejsze tylko małą cząstkę dzieci krajowi zwracają.

Dla kogóż więc te podręczniki?

Wyszło z druku sprawozdanie Spółki jedwabniczej, za czas od 20 maja 1875 r. do 19 kwietnia r. b. Ze sprawozdania tego dowiadujemy się, że dochód Spółki wynosił w tym czasie rs. 3,026 kop. 38½, że rozchód uczynił rs. 345 kop. 43 i że na produkcji jedwabiu, zakupnie i przerobie kokonów Spółka straciła rs. 19 kop. 49.

Są to cyfry niewiele pouczające, niedowodzące świetnego stanu Spółki, ani wielkiego jej rozwoju, co zresztą, z przyczyny fatalnej gospodarki lat przeszłych, jest nawet rzeczą niemożliwą. Sprawozdanie jednak zawięra obszerny wstęp, pouczający czytelnika o sprawie jedwabnictwa, o korzyściach jakie zapewnić może praca około niego — a wreszcie i o niektórych warunkach hodowli jedwabników i racjonalnej produkcji jedwabiu. Ten też wstęp, w naszym przekonaniu, jest najważniejszą częścią tegorocznego sprawozdania Spółki i polecamy go do odczytania wszystkim, którzy sprawy jedwabnictwa nie lekceważą, a w produkcji jedwabiu widzą nowe źródło bogactwa dla kraju.

Przy obecnym odbyciu na widowiska, ten i ów, dzierżący w dłoni swęj władzę rozdawania przyjemności, urosł... nad samego siebie. Chce-my tu mówić o kasyerach teatralnych. Ci wielcy mężowie, bez których kasy teatralne w żaden sposób obyć się nie mogą, wyobrażają sobie że są istotami niezbędnymi dla całego świata. Czynią oni zaszczyt pokornej słudze swęj, publiczności, jeżeli na jej zapytania raczą odpowiadać. Cóżby bowiem ta publiczność uczyniła, gdyby nie kasyer teatralny, który daje jej prawo wstępu do teatru?... Z jego to tylko łaski może się ona rozkoszować potęgą i wdziękiem sztuki—tak, z jego łaski, a jeżeli nie wierzycie, idźcie i obaczcie na własne oczy.

Oto okienko kasy zamknięte. Podchodzisz... czekasz nieśmiało, póki się nie otworzy; ale uważasz że pan kasyer widzi cię, i skoro nie raczy się zapytać czego żądasz, to zapewne ma do tego bardzo ważne powody. Gdy oczekiwanie próżne nudzić cię i niecierpliwie zaczyna, pukasz zlekka w szybkie okienka. Po chwili, gdyś pukanie powtórzył raz i drugi, okienko roztwiera się gwałtownie i z poza niego wybucha przestroga:

— Czego pan się tak dobijasz?... szybę stłuc możesz.

— Proszę pana dobrodzieja o bilet...

— Bilet... ale dokąd?

— Do krzesel...

— Niema!...

Zawiedziony, namyślasz się co masz uczynić... gdy wtém odsuwa cię lokeiem jakiś ufryzowany i wychuchany młodzieniec, wciska połowę swęj woniejącej postaci w okienko i woła:

— Ojezulku... biletu, koniecznie biletu, bo dzisiaj być muszę...

I otóż „ojczulek“ raczył się uśmiechnąć, nawet wypowiedział jakiś komplement, bilet żądajacemu wręczył i... okienko znów zatrzaskał.

Twoje starania rozpoczynają się nanowo... dowiadujesz się że amfiteatr najzupełniej zajęty, że nawet galerya rozprzedana, a wreszcie że jesteś „nudny i uprzykrzony...“ Podczas twych pokornych suplik widzisz ze smutkiem, że kilku innych ufryzowanych i wychuchanych ichmościów odeszło z komplementami i biletami, a gdy poraz ostatni okienko się przed tobą zamknęło, odchodzisz, rozmyślając głęboko, czy nie posiadasz czasem fizyognomii tak niesympatycznej, że aż po ludzku gadać z tobą niewarto...

Albo inną znowu razą.

Jesteś uszczęśliwiony że okienko zastajesz otwarte... pochylasz się więc ku niemu, aby wypowiedzieć uniżoną prośbę o bilet... gdy wtém okienko przed samym twoim nosem zatrzaskuje się z hukiem. Zdumiony—nie umiesz sobie wyjaśnić co to znaczy... i nie myślisz lepiej nad tēm. Prosty to kaprys niewieści, ot i wszystko... a przytém może to istotnie zawiniła twoja nieobiecująca fizyognomia.

„Bo i któż zbada głębie kobięcego serca?...“ jak powiedział któryś poeta.

Lekceważenie publiki (nie stosujemy naszych słów bynajmniej do kasyerów ogródkowych), jakaś dziwna niecierpliwosc i oburkliwość, a często nawet pospolita gburowatosć—oto cechy postępowania kasyerów teatralnych z kupującymi biletami. I doprawdy, znany takich, co gotowi są wyrzec się tego lub owego widowiska, byle tylko nie narażać się na prośby o bilety. I traci na tēm publiczność, traci teatr... traci nawet sztuka.

Skarg na to było już nieledwie tysiące... ale cóż to wszystko znaczy, gdy publika sama z całą pokorą znosi to, co jej ubliża, co ją dotyka najniesłuszniej. I są ludzie, którzy uwierzyli już na seryo, że okienko kasy, to wrota przybytku potęgi jakiejś, która łaskę lub nielaskę wymierzać im może. Sami kasyerowie wierzą w to niezawodnie, a przecież nie sądzą, aby na tę potęgę nie można było znaleźć skutecznego lekarstwa. Jeżeli głos uskarżającej się prasy nie trafia tutaj gdzieby trafić powinien, to energia interesowanych jednostek mogłaby osiągnąć cel pożądaną. Kasyerowie mają przecie zwierchnosc, a interesem tęg zwierchnosci jest, aby oni zrozumieli że posa-

dzono ich za okienkami kas jako slugi, nie zaś jako panów publiczności.

Z a g r a n i c z n a.

O zawiązaniu się we Lwowie Towarzystwa archeologicznego czytelnicy nasi dowiedzieli się już dawniej z listów naszego korespondenta lwowskiego. Obecnie mamy przed sobą pierwszy zeszyt wydawanego staraniem i nakładem rzeczonoego Towarzystwa pisma p. t. „Przegląd archeologiczny.“ Zeszyt ten, oprócz mowy inauguracyjnej prezesa Towarzystwa, dra Stanisława Krzyżanowskiego, obejmuje: Zarys etnologiczno-mitologiczny Słowian nadbałtyckich, przez A. H. Kirkora; Bibliografię archeologii polskiej, przez dra S. Krzyżanowskiego; Badania i poszukiwania archeologiczne w Galicyi w ostatnich latach, przez A. S.; Przegląd literatury archeologicznej, przez J. Kołaczkiego; Wiadomości rozmaite; Kronikę Towarzystwa i nakoniec Spis darów otrzymanych do jego zbiorów.

Artykuły obszerniejszych rozmiarów po większej części są dopiero porozpoczynane, o naukowej przeto ich wartości sąd byłby przedczesnym. Powiedzieć tylko możemy, że pierwsze ich ciągi w ogólnosci zapowiadają się bardzo dobrze. Za wielce pożyteczną uważamy myśl dra Krzyżanowskiego ułożenia spisu bibliograficznego wszelkich prac dotyczących archeologii polskiej, porządkiem alfabetycznym, według nazwisk ich autorów, Spis ten, gdy będzie ukończony (dotychczas mamy dopiero część litery A, na czterech stronicach), stanie się cenną wskazówką dla badaczy, poszukujących rozpraw i monografij treści archeologicznej, po rozmaitych broszurach i pismach czasowych porzucanych.

Towarzystwo powstało z inicjatywy dra Krzyżanowskiego i rozpoczęło działalność swoję z Nowym rokiem 1876, otrzymawszy zatwierdzenie swych statutów od namiestnictwa c. kr. Prezesem jego jest dr. S. Krzyżanowski, zastępcą prezesa dr. E. Janota, konserwatorem zbiorów A. Pressen, podskarbin W. Zawadzki, sekretarzem K. Widmann. W stosownej porze Towarzystwo uchwaliło przedsiębrać wycieczki, w celu zbadania miejscowości ważnych pod względem archeologicznym, a mianowicie rozpocząć takowe od Stradca pod Lwowem, następnie udać się do Podhoraja koło Zarudziec i do Chocimierza.

Prenumerata na „Przegląd archeologiczny“ wynosi w Warszawie rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.



DLA RODZINY POZOSTAJEJ PO Ś. P. WOJCIECHU GROCHOWSKIM otrzymaliśmy:

Od Wołynianki rs. 3; przelano z reda keyi Kuryera Warszawskiego rs. 51 kop. 20.

Razem ze złożonemi poprzednio rs. 2671 kop. 20.

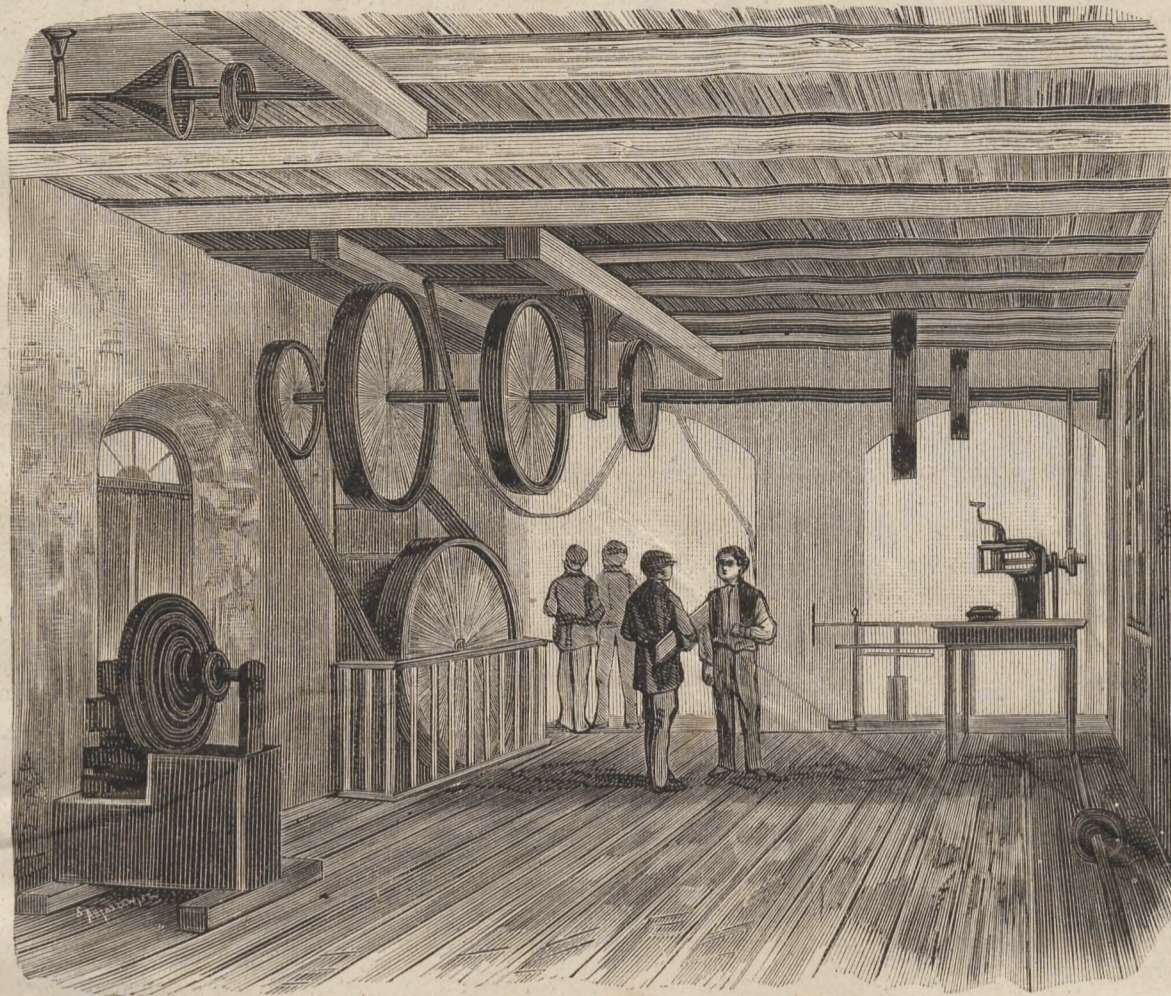
Otrzymałmy: Na budowę kościoła w Ciecuchowcu od Wołynianki rs. 3.

Na Biuro informacyjne o nędzy wyjątkowej: od ks. Sz. w Petersburgu kop. 50; od T. Z. w Słonimie kop. 50.

Fabryka wyrobów budowlanych stolarskich pp. Szokalskiego i Żarskiego w Warszawie.

**PABRYKA
WYROBÓW BUDOWLANYCH
stolarskich**
pp. Szokalskiego i Żarskiego
w Warszawie.

Przy ulicy Gęsięj, pod numerem 14, leży rozległa posesya, do fabryk garbarskich p. Temlera dotykająca, na której wznoszą się wielkie i ciężkie budynki, dawniej przez fabryki chemiczną i mydlarską p. Adama Epsteina zajmowane. Po śmierci ich właściciela stały one przez lat kilka pustkami; lecz nowo u nas rodzące się przemysłowe życie zaludniło je znowa i zmieniło obecnie na istną fabryczną osadę. W jednym z owych gmachów mieści się dziś fabryka mebli giętych hrabiego Poleytyły; w innym aż trzy zakłady: mydlarnia, fabryka krochmalu i fabryka mączki kościanej p. Przeciszewskiego. Największe jednak

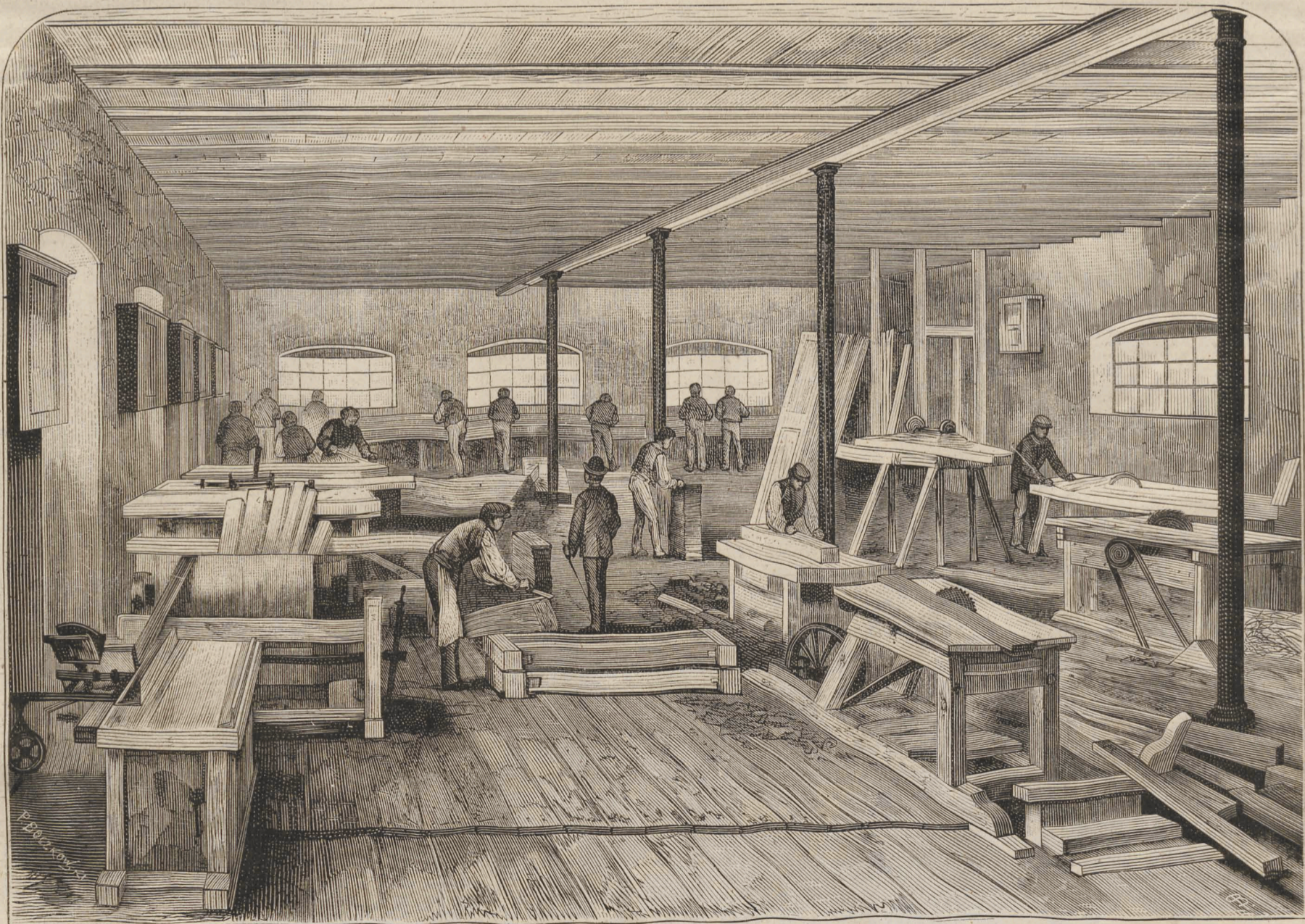


Transmisja główna. Rysował na miejscu Podbielski

159

z tych zabudowań, znane pod nazwą starej ludwisarni, mieszczące dawniej główne jądro fabryk Epsteina, zajmuje dzisiaj fabryka o której mówimy, otwarta w lutym b. r.

Właścicielami jej są dwaj technicy, pp. Karol Szokalski i Jan Żarski, dobrze już znani, zwłaszcza w naszych okęgach górniczych. Pierwszy, inżynier górniczy i współpracownik „Przeglądu technicznego,” dawny uczeń akademij górniczych we Freibergu i Leoben, prowadził przez lat pięć zakłady górnicze, hutnicze i mechaniczne barona Frenkla w Ostrowcu i Starachowicach, i wedle powszechnego uznania niemałe oddał im usługi. Drugi, mechanik, jest wychowawcą zakładów Lilpopy i Rau'a, miał własną fabrykę maszyn rolniczych w Będzińskiem, następnie zaś



Warsztaty stolarskie. (Rysował na miejscu Podbielski).

16

Rysunki E. M. Andriolli'ego.



budował i prowadził fabryki drutu, walcownie i inne techniczne zakłady, z których kilka zostaje obecnie w zupełnym rozwoju, w okolicach Dąbrowy.

Z powodu ożywienia się w ostatnich latach ruchu budowlanego w Warszawie, młodzi ci technicy powzięli myśl założenia fabryki półproduktu stolarskiego, na wzór istniejących zagranicą zakładów tego rodzaju. Ponieważ wyrób ręczny warsztatowy jest kosztowny i powolny, chodzi tu więc o to, ażeby go wesprzeć fabrycznym, przez przysposobianie zapomocą maszyn ile możności najdokładniejszego i w połowie już obrobionego materiału, do mającego się ostatecznie dokonywać dzieła. Jeżeli stolarz będzie mógł dostać na każde zapotrzebowanie wszelkiego rodzaju starannie wysuszonego drzewa, pociętego już na deski, na listwy i wszelkiego kształtu przykrawki; jeżeli takowe otrzyma już wyheblowane i wygzymsowane według danego modelu, to nie będzie potrzebował składów drzewa, ani tak obszer-nych jak dzisiaj warsztatowych lokali, ani tylu jak dotąd ludzi, a robotę swą, której nieraz podołać nie może, będzie dostarczał prędzej, taniej i w większej ilości. Zysk więc i wygoda jest oczywista i potrzeba tylko, ażeby się nowy wyrobił zwyczaj, naprzekór dotąd istniejącej rutynie.

Powziąwszy takowy zamiar, założyciele nowiej fabryki zaczęli od wyrobienia u siebie samych wszelkich maszyn i przyrządów, co im się też łatwo powiodło, gdyż mogli korzystać z odlewni żelaza oraz warsztatów mechanicznych, którym dawniej przewodniczyli. Tym sposobem wszystkie narzędzia w ich dzisiejszej fabryce, počawszy od maszyny parowej o sile 16 koni, zarezerwowanej na spodziewane powiększenie zakładu, aż do stołów stolarskich i wszystkich przynależących do nich przyborów, jest własnej ich ręki owocem, równie jak i całe urządzenie zakładu, który sami prowadzą, bez żadnej dotąd obcej pomocy. Na podwórku obszernego budynku czworobocznego mieści się w fabryce kotłownia, oraz maszyna parowa o sile 25 koni, którą po fabryce chemicznej nabyto. Główne transmisje umieszczone są obok w obszernej sali, której rysunek tu podajemy. W jednym skrzydle gmachu umieszczone są tartak, oraz różnego rodzaju piły, w drugim zaś heblarki, wiertalnie, maszyny do wycinania rowków i trzpieni i t. p. W tylnym froncie mieści się ogromna sala, przeznaczona na ciesielskie roboty, kuźnia, ślusarnia i szlifiernia, gdyż fabryka sama sobie wyrabia różnokształtne noże, wedle modeli gzymsów które mają wycinać heblarki. Parnik do gotowania drzewa, oraz obszerna suszarnia drzewa stoją osobno.

Manipulacja fabryczna odbywa się w następujący sposób. Kloce surowe różnego rodzaju drzewa, wzięte prosto z lasu lub z wiślanego spławu, zostają na tartaku porzniete na bale lub deski i na pilach drobniejszych porozcinane na listwy, listewki, deszczułki, klepki lub forniry żądanych kształtów i wymiarów—a potem przez dni kilka niektóre z nich, stosownie do potrzeby, wytrawiają się w parze wodnej. Ku temu służy obszerna, w ziemi wykopana izba, starannie wycementowana i balami pokryta, 16 łokci długa i 6 łokci szeroka, do której para z kotła maszyny parowej dochodzi nieustannie podziemnym kanałem. Wyparzenie takowe pozbawia drzewo wszelkich ekstraktowych części, które właśnie przeszkadzają jego wyschnięciu, a gdy takowe rzekomo nastąpi, to przyciągając napowrót wilgoć z powietrza, sprawiają spaczenia i pokrzywienia. Z takiego parnika drzewo idzie do suszarni. Jest to znów obszerniejsza jeszcze izba, silnie obmurowana, opatrzoną potężnymi żelaznymi piecami i bardzo staranną wentylacją, gdzie temperatura podnosi się stopniowo od 25° do 70°. Do zupełnego wysuszenia wystarczają trzy tygodnie czasu, a gdy takowe okaże się dostatecznym, drzewo przenosi się do magazynów i tam ustertowane pozostaje jeszcze kilka tygodni, wśród przewiewu powietrza, zanim do dalszej użyte będzie przeróbki, w tym celu, ażeby w razie zanadto wielkiego wyschnięcia, naciągnęło znów w siebie tyle wilgoci, ile mu do jego ostatecznej równowagi potrzeba.

Ponieważ fabryka, oprócz dostawy półproduktu dla stolarzy, sama także z niego korzystając może, w obszernych więc salach pierwszego piętra, z których jedną przedstawia nasz rysunek, ustawiono dotychczas 20 stolarskich warsztatów i tam wyrabiają się drzwi, okna, podłogi, posadzki, bramy, schody, sklepowe wystawy, słowem wszystkie budowlane stolarskie i ciesielskie przybory, z wyłączeniem budowy dachów, o której dotąd nie można było pomyśleć. Zato na wszelki wyrób techniczny, na przykład modeli maszyn i odlewów, oraz części drewnianych różnych przyrządów, fabryka jaknajzupełniej jest przysposobiona i może, zwłaszcza dla miejscowych fabryk machin rolniczych, wielką stanowić pomoc.

Obecnie zatrudnia ona około 50 osób, lecz sądząc po dzisiejszej działalności, rychłego jej powiększenia spodziewać się należy.

Niewdzięczny.

(Do rysunku Andriollego.)

Stara to, jak świat, historya.

Oto zboleła żona, spoczywająca w poduszkach fotelu, przed otwartym oknem, tęsknie chwyta promienie wiosennego słońca, które wszystkiemu niesie życie i siły nowe, tylko piersi ludzkiej zbyt często... śmierać.

Jest sama. Myśl jej ulatuje ku przeszłości, która, jak wiosna, stroiła dla niej świat blaskami i kwieciami. Tęskni za przeszłością—bo samotność i cierpienia terażniejszości nie dają jej uśmiechów szczęścia. Przed wyobraźnią jej snują się barwne obrazy, w mgłę marzeń, w otoczeniu rojeń cichych, spokojnych, kojących...

O wiosno młodzieńcza natury! ty budzisz złote widma w duszach, co się zbrały z cierpieniem na wieki, co już nie pragną szczęścia i wierzyć w nie nie mogą.

Tam za oknem, na tle zieleni... sunie jakaś postać. To on—on!.. Powierzyła mu życie swoje, marzenia, ufność, wiarę, honor—wszystko, co powierzyć może kobieta mężczyźnie.

Boże!.. a tam przy jego boku widnieje postać druga, wiotka jak lilia wodna, strojna, piękna, uśmiechnięta. On się ku niej chyli...

— Niewdzięczny!..

PRZESADY,

komedya w pięciu aktach,

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

ZDZISŁAW (rozświetlając przyjemną lampę, wskazuje na Julię zemdloną w fotelu).

Tak, to ona! Przypatrz się dobrze twemu dziełu! (Cucąc). Pani!..

ARTUR (z drugiej strony).

Julio, gotów jestem...

ZDZISŁAW.

Ciszej, na Boga!.. Co począć z zemdloną? (Cucąc). Nareszcie otwarła oczy.. Zaklinam panią na miłość ojca, pohamuj wzruszenie! Hrabio, zamknij drzwi główne! (Artur zamyka.)

JULIA (zrywa się gwałtownie).

Dosyć, dosyć tej męki!

ARTUR.

Przysięgam na honor, że gotów jestem natychmiast...

ZDZISŁAW.

Wesprzyj się pani na mojem ramieniu i odejdz. To co się tu stało, niechaj pozostanie tajemnicą nazawsze!

ARTUR (chce wziąć jej rękę.)

Julio!

JULIA (odpychając go, do Zdzisława).
Dziękuję ci, panie! Lecz ja nie zasłużyłam na twą pogardę.

ARTUR.

Błagam cię, słówko tylko!.. (Julia ze Zdzisławem wychodzą na prawo; Zdzisław wraca).

Scena 5.

ARTUR i ZDZISŁAW.

ARTUR (z najwyższym gniewem).

Zapłacisz mi za to! Albo nie! sądź się może żeś już wygrał, że ja ci tak łatwo ustąpię? Nie, klnę się na honor: jutro stawię się tu we fraku, białej krawacie i jakim hrabia Artur, oświadczyć się o jej rękę!

ZDZISŁAW.

Dobrze, jutro; ale dziś rano ztąd wyjść, bo lada chwila ktoś nas zastać może.

ARTUR.

Pojmujesz pan... nie jesteśmy wcale krewnymi.

ZDZISŁAW.

Najchętniej, ale teraz rano wyjść!

ARTUR.

I nie byliśmy nimi—pojmujesz pan.

ZDZISŁAW.

Nie jestem tak tępy.

ARTUR (przy drzwiach lewych).

A teraz otwórz mi, panie, skoro tak wiernie spełniasz tu swą służbę.

ZDZISŁAW.

Chętnie posłużyłbym panu, ale klucza nie mam.

ARTUR.

Więc mam, do krośset... wychodzić oknem?

ZDZISŁAW.

Skoro się niem raz weszło... Proszę bardzo.

ARTUR (w oknie).

Nie wiem dlaczego nie palę do ciebie z tego rewolweru, który mam w kieszeni. Lecz ja się zemszczę lepij; zobaczysz jutro, szambelanie pana Zylastowicza.

ZDZISŁAW.

Zobaczę jutro, zobaczę, a teraz żegnam! (Zamykając za nim okno, nadśledzuje, wraca na przed sceny i siada zmęczony). Udało mi się. Ona uratowana! Jakżem szczęśliwy!.. Szczęśliwy? Czyżby to miał być mój pierwszy debiut zakochania się w kobiecie, która kochała innego?

AKT IV.

(Ten sam salon, co w akcie II-gim).

ARTUR (wyfrakowany, idąc ku drzwiom na prawo, półgłosem).

Gwałtu! już mię trzyma ta 40-letnia Gretchen.

ADELA (szła za nim).

Nie odpowiedziałeś, hrabio, na pytanie...

ARTUR.

A! przepraszam, nie uważałem...

ADELA.

Zerwałeś się pan tak szybko, jak gdyby niewinne moje zapytanie było ukaszeniem węża.

ARTUR.

Gdy tymczasem pani jesteś tylko ciekawą Ewą.

ADELA.

Zgadłeś hrabia; w tym wypadku nie ustępuję w ciekawości naszej pierwszej rodzicielce. Zatem słucham.

ARTUR.

Nie uwierzysz pani, choć powiem prawdę.

ADELA.

O nieprawdę nie pisałam pana dotąd.

ARTUR.

Zatem, tylko proszę bez uśmiechu—gdybym się kiedykolwiek ożenił...

ADELA.

Tryb bardzo warunkowy!

ARTUR.

Musiabym chyba być prawdziwie zakochanym.

ADELA.

Ce n'est pas vraisemblable.

ARTUR.

Mais vrai.

ADELA.

Oczom swoim nie chciałabym wierzyć, gdybym pana ujrzała z tą wybraną.

ARTUR.

Przyznaję że i ja także nie wierzyłbym swoim.

ADELA.

Są to zresztą przypuszczenia, bo zapewne obecnie jesteś pan dalekim jeszcze od tego, nieprawdaż?

ARTUR.

Czy pani mierzy czasem, czy przestrzenia?

ADELA.

A odpowiedź ta, czy ma być tylko wybiegiem zręcznym, czy zagadką do rozwiązania?

ARTUR.

Jeśli jest zagadką, sambym jej jeszcze nie rozwiązał. (*Na stronie*). Nie puści mnie.

ADELA.

Hrabio, chybiłeś powołania, nie zostawszy dyplomata. Ale ja pana zatrzymuję, a pan śpieszysz tam.

ARTUR.

Skoro pani tak odgaduje, nie zaprzeczę. Za dziesięć minut będę z powrotem.

ADELA.

W dziesięć minut ma panu arcykapłan odsłonić tajemnice eleuzyńskie?

ARTUR.

Zkądże arcykapłan?

ADELA.

Więc arcykapłanka?

ARTUR.

Si vous n'êtes pas si charmante, vous seriez méchante.

ADELA.

Oddalasz mnie pan tym koplimentem; zatem nie przeszkadzam i... *bonne chance*.

ARTUR.

Korzystam z pozwolenia zuiknięcia na chwilę. (*Wychodzi*).

SCENA 2.

ADELA I SPUERER.

ADELA.

Zmieszanie Julii, doniesienia Laufena i wykrety Artura, przy tej jego uroczystej minie, każą mi wnosić, że komedia rozegra się w tym momencie. (*Z najwyższą pasją*). A ten głupiec Laufen, który się spóźnił z moim rozkazem, i ten niedołężny mój ojciec. (*Spürer wchodzi z lewej*). A, jesteś, jesteś, niezręczny ojciec! wszystko skończono!

SPUERER.

Co? przecież jeszcze nie po ślubie?

ADELA.

Hrabia poszedł tam oświadczyć się najniezawodniej, przysięgnę na to. Ty, ojczu, zawsze tak długo namyślasz się, aż i po wszystkim.

SPUERER.

Adelciu—*ich hab Geduld!*

ADELA.

(*Tupać nogą*). Obrzydłe przysłowie! Balesię tego hrabiego.

SPUERER.

No, mógł mi się w nos roześmiać.

ADELA.

Cóży ci to szkodziło? Lecz nie śmieje się nikt w nos dającemu miliony.

SPUERER.

Uspokój się, Adelinciu; zaraz się z nim rozmówię, nawet tu, choć nam mogą przeszkodzić.

ADELA.

Nie nie rozumiesz, ojczu. Powtarzam ci że gdy z tamtych drzwi wyjdzie, będzie już zaręczony, związany.

SPUERER.

Ja go rozwiążę; milion talarów, dwa choćby, zmieczą go... lubo mi przykro tyle dawać od razu.

ADELA.

Cicho, już nadchodzi; niech nas nie widzą razem. Uciekam, a ty, ojczu, próbuj, jeśli jeszcze warto.

SPUERER.

Wiész co, i ja poczekam na hrabiego w ogra-

dzie; z jego miny poznam zaraz, czy mu trzeba będzie od razu ofiarować dwa miliony.

ADELA.

Wychodźmy!

SPUERER.

Nur Geduld, moja Adelinciu! (*Wychodzą*).

SCENA 3.

ARTUR I ŻYLASTOWICZ (*wchodzą z lewej*).

ŻYLASTOWICZ.

Proszę bardzo, jeśli to interes tak ważny.

ARTUR.

Dla mnie jest tak ważny, że wybieram chwilę może nawet cokolwiek niestosowną.

ŻYLASTOWICZ.

Sąsiad mój jest moim codziennym gościem, a jak teraz zapewne został w ogrodzie.

ARTUR.

Córka jego była tu przed chwilą. Ciekawa panna!

ŻYLASTOWICZ.

Nie się u mnie nie dzieje takiego, czego by każdy nie mógł być świadom, i mam w Bogu nadzieję, że tak zawsze będzie.

ARTUR.

Zdziwiłeś się zapewne, szanowny panie, że cię tak uroczyszcie proszę na osobne słówko.

ŻYLASTOWICZ.

(*z namysłem*.) Może i nie.

ARTUR.

Tak?.. tém lepij; zatem mogę od razu, bez wszelkich omówień, przystąpić do rzeczy?

ŻYLASTOWICZ.

I to prawda, że nie zachwygam się wszelkiemi omówieniami; zatem proszę usiąść. (*Siadają*).

ARTUR.

Mam zaszczyt bywać w pańskim domu od sześciu miesięcy...

ŻYLASTOWICZ.

Pamięć wyborna: sześć miesięcy i dwa tygodnie.

ARTUR.

Pańska, jak widzę, lepsza.

ŻYLASTOWICZ.

Jeśli o zaszczytach mowa, nie mogę zapomnieć daty pierwszej pańskiej bytności w moim domu.

ARTUR.

(*na stronie*.) Co temu staremu? (*Głośno*). Zrozumiałeś zapewne, szanowny panie, od razu, w jakim zacząłem bywać celu.

ŻYLASTOWICZ.

(*powstając*.) *I to prawda*, że tego nic a nic nie zrozumiałem.

ARTUR.

A jednak rzecz tak prosta...

ŻYLASTOWICZ.

Niekoniecznie. (*Siada*). Ze mnie jest sobie dość zamożny fabrykant, który jeszcze nie zapomniał przeszłości, gdy często nie miał kawałka chleba włożyć do ust; a pan jesteś potomkiem jednej z najznakomitszych rodzin w kraju, najbogatszym z najbogatszych, człowiekiem, z którym doprawdy nie wiem jak rozmawiać.

ARTUR.

Zawsze poprostu.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Przegląd polityki zagranicznej.

30 czerwca.

Starcie z garstką Czerkiesów tureckich na granicy serbskiej uważają niektórzy za rozpoczęcie wojny i zapowiedź blizkich, ogólnych zawikłań. Nie podzielamy tego zdania. Wojna dotąd wypowiedziana nie została, a chociaż jest możebną, nie należy uważać jej za fakt już dokonany. Telegram z Zemlina powiada tylko, że w d. 25 b. m. Czerkiesi w liczbie 400 wpadli na grunt serbski, pod Supowacem i Aleksinacem. Batalion brygady białogrodzkiej otoczył owych Czerkiesów w lesie i wytepił co do jednego, przyczem zginął major Czelekartie i trzech żołnierzy, 30 zaś ranionych

zostało. Jest-to bezwątpienia krwawe starcie, lecz samo przez się nie stanowi jeszcze o wojnie. Wszystkie mocarstwa jaknajusilniej pracują nad tém, aby powstrzymać Serbią od kroków zaczepnych względem Porty. Idzie tylko o to, czy Serbia może zadosyć uczynić woli mocarstw, w tej chwili bowiem 100,000 Serbów uzbrojonych zapałem chce iść na Turka, a wysiłki tego rodzaju zbyt są kosztowne, aby mały kraik ponosić mógł długo tak wielkie ciężary. Gdyby mocarstwa zapewniły Serbii ustąpienie Bośni, rząd ks. Milana mógłby natychmiast przystąpić do rozbrojenia, w przeciwnym zaś razie zmuszony on będzie do wojny siłą samych okoliczności. Co pocznie wówczas Europa?—oto pytanie, zagadka, której żaden z dzienników zagranicznych dotąd rozwiązać nie zdołał. Dziwić się temu nie należy, bo któż przewidzieć może wypadek starcia, skoro obie strony mniej więcej siłą równe są sobie? Nam się zdaje, że interwencya zbrojna mocarstw w każdym razie będzie koniecznym następstwem. Czy Serbowie pobiją Turków, czy Turcy zwyciężą Serbów, Europa nie pozostawi półwyspu bałkańskiego własnemu jego losowi i zmuszoną będzie do urzędzenia spraw Wschodu. Tymczasem jednak czekać należy na rezultat akcyi, a raczej nacisku dyplomatycznego, jaki w tej chwili wywierany jest przez mocarstwa na rząd młodego Milana.

Interpelacye zaszele w izbie lordów d. 27 b. m. nie rzucają światła na ogólne położenie polityczne. Lord Derby zakomunikował izbie wyższej to, o czém już wszyscy wiedzą, a mianowicie że stan Serbii jest krytyczny, że w Stambule obawiają się starcia, że o stosunku Porty do powstańców nie stanowczo powiedzić nie można, że Anglia pragnie pokojowego załatwienia całej sprawy i t. p. Jak widzimy, są to ogólneki bez wartości, z których żadnego wniosku o położeniu sprawy wysnuć niepodobna. Prasa spodziewała się że lord Derby wspomni o usiłowaniu rządu Murada II, lecz zawiódła się w tém zupełnie. Sądząc z depesz wiedeńskich, stanowisko nowego sultana i jego doradców o tyle jest zachwiane, iż wszelkie reformy wewnętrzne są zawieszono, z powodu niezadowolenia panującego w stolicy tureckiej. Być może iż grożące starcie przyczynia się do stagnacyi, lecz to jest pewnym, że nowy rząd sam nie wie teraz, co mu czynić wypada. Ostatni telegram z Wiednia zapewnia, iż według wiadomości odebranych z Belgradu, ks. Milan wyjeżdża do armii w d. 30 b. m. i w tymże dniu wyda manifest wojenny. Jednocześnie w Cetyniu powołują do broni wszystkich Czarnogórców, od 17 do 60 roku życia. Ks. czarnogórski zda rządy senatowi, a sam obejmie na czas wojny dowództwo nad armią czarnogórską. Wiadomość o wylądowaniu wojska angielskiego w Konstantynopolu dotąd potwierdzoną nie została.

Z Wersalu piszą, że izby odroczyć się mają na początku lipca, a zebrać dopiero w październiku. Bonapartyści zacierają ręce z radości i dowodzą że Francya nie jest zdolną do rządów parlamentarnych. Jest-to złośliwość i przesada, osłonięta rzeczywicie niektórymi pozornymi wadami izb dzisiejszych. Jakoż w rzeczy samej, między senatem i izbą deputowanych wkradła się niezgoda, z której korzystać zaczynają przeciwnicy rzecyzpospolitej. Pomimo to jedność republikańska dotąd rozbitą nie została. P. Dufaure pozostaje wiernym sztandarowi, a i marszałek Mac-Mahon, wbrew wszelkim pogłoskom, w zupełnej jest zgodzie z ministrami. Obecnie opinia publiczna mocno jest zajęta sprawami wschodnimi, choć samo przez się wypada, że rola rządu francuzkiego nie może tam być pierwszorzędną.

Wiadomości z innych krajów pozbawione są wszelkiej doniosłości. W Niemczech przygotowują się do wyborów, a z Hiszpanii donoszą, że zniesienie fuerosów nie wywołało żadnych niepokoju w Biskai i Nawarze. Pogłoska o udaniu się don Carlosa na wyspę Kubę jest niedorzeczna; czy zaś pretendent istotnie wyjechał do Meksyku, niewiadomo.

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times.)

SŁÓWKO

PAMIĄTKACH I PAMIĘTNIKACH.

Cóż jest miłszego nad spotkanie ze starym przyjacielem? z dawno niewidzianym towarzyszem pacholejących igraszek i rzekomych przygód dziecin-

nych, przed którym serce twoje stało zawsze otworem, z którym dzieliliś upodobania swe lub niechęci i wspólne układałeś na przyszłość zamiary? Witasz go, ściskasz, siadasz przy nim, wypytujesz o zdrowie i powodzenie, o jego krewnych i blizkich jego sercu. Niebawem myśl i rozmowa biegnie w przeszłość, ku wiosnie waszego życia. Przypominacie sobie każdy szczegół, każdą miej-

scowość, każdą postać, a czas bieży wam dziwnie słodko i szybko, boście wstąpili do zaczarowanej krainy wspomnień.

I pokazało się, że macie trzeciego wspólnego przyjaciela, któremu na imię *wspomnienie*.

Tak, zaiste, przyjacielem człowieka bywa nie tylko człowiek, ale i *u wspomnienie*. Ono dalekich ludzi łączy swoim ogniwem, umacnia węzły



Powrót z targu na konie. Rysunek Masłowskiego.

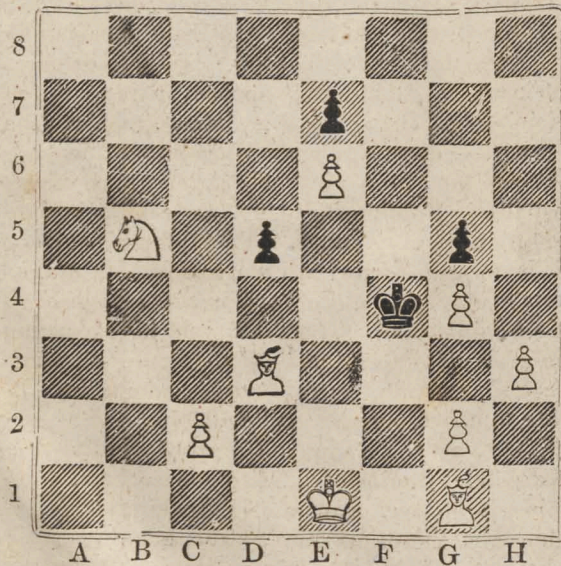
261

SZACHY.

ZADANIE XXV.

Białe zaczynają i dają mata za 4 posunięciami.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego nr. 24.

Białe.

Czarne.

- 1) G8—B3 1) E7—D6 biorą.
- 2) F2—D4 †
- 3) Mat koniem.

NAKLAD JÓZEFA UNGRA.

W tych dniach opuściło prasę

DZIEŁO

WIKTORA TISSOT

pod tytułem:

Prusacy w Niemczech.

PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

Całe dzieło obejmuje trzydzieści cztery arkusze druku.

Cena rs. 1.

U w a g a. Osoby zamieszkałe w cesarstwie i na prowincyi, jeżeli pod adresem wydawcy nadeszłą rs. jeden, będą miały całe dzieło wysłane franco.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3).

REBUS.

163



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 26.
Kto ma złoto, rozum, zdrowie, ma świat cały na usługi.

przyjaźni, niweczy przestrzenie czasu i odległości. Ono nieraz w chwilach zwątpienia dodaje siły; ono w białej niewinnej sukience tajemniczo czasami zapuka do zabłąkanej duszy, ukazując prostą ścieżkę, po której wyszła z rodzicielskiego gniazda, i manowce, na które w świecie zбочyła; ono wreszcie zasila jedno z najszlachetniejszych uczuć człowieka, przywiązanie do rodzinnej strzechy. Z tych wszystkich więc względów ma ono swoje znaczenie w psychologii, uznane i cenione przez mędrców lub prostaków, a poniewierane tylko przez mędrków.

Ale jak nie każdy twój znajomy został twoim przyjacielem, tak i nie wszystko co pamiętasz zasługuje na nazwę *wspomnienia*. Jak bowiem do przyjaźni z człowiekiem potrzeba pewnych psychicznych węzłów (a i fizyologiczne odgrywają tu nieraz ważną rolę), tak i *wspomnienie* musi mieć w sobie coś serdecznego lub pięknego, wzniosłego lub miłego.

Niewzyscy są tak szczęśliwi, że spotykać się mogą dowoli z dawnymi przyjaciółmi, niewzyscy zresztą ich posiadają. Nad tymi usypano mogiły, tamci znowu przepadli bez wieści, a innych rozdzielił los przestrzeniami oceanów i pustyń. Zostały tylko wspomnienia i... *pamiętki*. Ale i pamiętka jest także przyjacielem człowieka; a bywa nią wszystko co z daru twego druha pochodzi i co było dla niego miłym, lub na czém spoczywał często promień jego wzroku, wszystko co było świadkiem pamiętnych chwil w waszém życiu, drzewo zasadzone jego ręką, a wreszcie kwiatek lub listek z jego mogiły.

Pamiętka i wspomnienie uprzyjemniają ci nieraz samotne chwile dumania lub wypoczynku po pracy. Witasz się z niemi, odtwarzasz myślą liczne obrazy, liczne szczegóły przypominasz, jakby dla przekonania się, czy nie uroniła czego twoja pamięć, czy serce nie wystygło wśród ludzi. Westchnieniami lub łzą znacysz groby, uśmiechem chwile wesela. Wspomnienia i pamiętki łączą cię tajemniczym węzłem z daleką rodziną strzechą i odróżniają od tych zwierząt i tych ludzi, dla których tłusty kawałek mięsa zastępuje *wszystko* na świecie.

Lecz pono najcenniejszą pamiętką jest pismo drogiej osoby, bo obok swój zmysłowej formy, zamyka ono jej myśli, a więc część jej ducha. To też do najmiłszych pamiętek należą listy, podpisy, wiersze, zdania lub spisywane myśli, wspomnienia lub pamiętniki przyjaciół.

Przed dwoma i trzema wieki nie było w Polsce domu, gdzieby nie zapisywano w przeznaczonych na to księdze ważniejszych wypadków krajowych i rodzinnych. Przy niezmiernie rozwiniętym życiu publicznym z jednej strony, a wielkich skarbach serca z drugiej, nawet ubogiemu szlachcicowi nie brakło obfitego wątku w tój mierze. Lecz nietylko szlachta, ale i zamożniejsi mieszczaństwo, nietylko osoby świeckie ale i duchowieństwo, miały podobne pamiętniki. Obok praw uchwalonych, mów sejmowych i not dyplomatycznych, znajdujemy tam recepty i oracye weselne, obok wypadków dziejowych, śmieszne dyalogi dygnitarzy, przypowieści, satyry, rymy i rebusy, obok fraszek, opisy uroczystości rodzinnych, daty chrzcina, pogrzebów, rachunki pobożnych i dobroczynnych fundacyj i nieraz bardzo rzewne wspomnienia pośmiertne. Ztąd poszła owa nazwa lasu rzeczy, *silva rerum*. Pamiętnik taki, prowadzony przez kilka pokoleń, zastępował, w braku innych ksiąg, historią krajową, był kroniką domu, nauczycielem gospodarstwa, poradnikiem lekarskim i stróżem narodowych obyczajów. Nadzwyczajna sprzecznosc i rozmaitość treści czyniła go zawsze interesującym dla potomków, a bieg czasu przedstawiał się dziwnie plastycznie prawnikom, gdy przeglądali kartę po karcie, z których każda otoczona była pewną wiązką lat, przeplatanych szczęściem rodzinnym lub mogiłami.

Jeszcze za Augusta II widziemy dużo *silw* starożytnego pokroju, ale wogóle czasy saskie były epoką ich upadku. Pod panowaniem drugiego Sasa najczęściej zmieniają się one na pamiętniki osobiste, z barwą autorską; zaledwie setny szlachcic dawną *silwę* prowadzi. Następowal inny duch czasu, a sta-

re *silvy* nie umiały mu już dogodzić, zużyły się i upadły w zatargu z modą i pod ciosem innych okoliczności. Za panowania Stanisława Poniatowskiego widziemy, jak wszystkie stare księgi, drukowane i pisane, wynoszą się na poddasza i do lamusów. Kontusz i wasy wydawały się śmiesznością, a pudrowana peruka z harcapem ozdobą. Było to przejście do *souvenirów*, *sztambuchów* i albumów, naszpikowanych francuzczyzną, bez której, wedle ówczesnego poziomu *pastokaty* mniemań, nie było dobrego tonu i salonu. Krok postępu był srodze koszlawy. Możlijsi pisali listy i pamiętniki po francuzku, rzadko mową Krasickiego i Jana z Czarnolasu. Ubożsi pisali po polsku, ale tych było niewiele, bo zakres życia publicznego wielce już dla nich zmalał, a olowane chmury zasłyły jego widokraj. Kilkunastu pokiereszowanych konfederatów, powróciwszy z dalekich krain, kręśliło w zaciszu wiejskim ciekawe opisy swego pobytu na Północy i Wschodzie, ale te ich pamiętniki zaginęły później po większej części.

A przecież jakże pożądanym byłby nieraz gościem w każdym kółku rodzinnym jakiś pamiętnik drogiej dla nas a zmarłej już osoby! Czyż nie miło odczytać list zgasłego przyjaciela, lub słuchać opowiadań naoczego świadka z czasów, których pamięć już nie sięgamy? Czemuż nieraz chwili, zajętej czytaniem skandalicznego romansu, lub opisów zbrodni wzdrygających szlachetną naturę, chwili zapełnionej bezmyślnym bezikiem, lub, co gorzej, obmową, nie mielibyśmy poświęcić na przeniesienie się myślą pod strzechę rodziców albo dziadków naszych, w kółku ich krewnych i przyjaciół? Czemuż nie mielibyśmy przypatrzeć się ich zwyczajom towarzyskim, sprzętom domowym, ich pracy, gospodarstwu lub warstawi, podzielić ich trudy, niepokoje, radość, smutek i przygody, lub powędrować z nimi szlakiem niebezpieczeństw, mogiłych krzyżów i sławy?

Łatwiej, wtedy w przestrzeni czasu mogliśmyby ocenić postęp, jego proste ścieżki, lub fantastyczne i wsteczne manowce, łatwiej zrozumieć cel i krótkość ludzkiego życia, ocenić wielką szybkość i wartość czasu, obowiązek pracy, cichych poświęceń i zostawienia na tój drodze koniecznej pamiętki, choćby tak skromnej i ubogiej, a jednak tak zaszczytnej, jak dobry dla drugich przykład pracowitego i uczciwego żywota. Czyż potrzebujemy dodawać, że tylko przy świetle zdrowego rozsądku, piórem maczanem w skromności i prawdzie, piszą się rzeczy pożyteczne? Czyż potrzebujemy ostrzegać, ile poniża człowieka wszelkie pyszałkostwo, które, najrzędniej ukrywane, nigdy się ukryć nie może? Czyż trzeba dowodzić, że tłem pamiętników domowych powinno być życie domowe, a nie awanturniczość i przechwalstwo, dowodzące tylko że się było wielkim człowiekiem do małych rzeczy?

Jesteśmy przekonani, że zmniejszyłaby się liczba synów marnotrawnych, gdyby rozumni i zacni rodzice, obok praktycznego wychowania, zostawiali dzieciom i wnukom szczery obraz ubożego gniazda z którego wyszli, lub krwawej pracy którą się dorabiali każdego grosza. Byłby to najpiękniejszy napis na ich grobie, balsam cnoty na drogę życia dla potomków, łańcuch który pokolenia złączyłby węzłem zasłużonej czci, a nie wyrzutów. Przyszły badacz dziejów domowych znalazłby także w licznych pamiętnikach rodzinnych obfite źródło dla pióra, a powieściopisarza lub poeta wątek do powieści lub pieśni.

Zygmunt Gloger.

KORESPONDENCYA TYGODNIKA ILLUSTRWANEGO.

Poznań, w czerwcu.

Jarmark wełniany, interesa śto-jańskie i powtarzające się zjazdy obywatelskie, ożywiają przelotnie miasto nasze, zanim rozpocznie się dlań na piękne tak zwana „pora ogórkowa.“ Mimo jednak napływu kupców i handlujących, mimo licznych gości z prowincyi, Poznań nie może się otrząsnąć

z pewnego smutku, który nad nim od kilku lat już zawisnął. Powtarzające się wciąż ciosy materialne niemało się też przyczyniają, do ogólnego sponsepnienia naszej społeczności. Odnowienie smutnej sprawy Tellusowej odświeżyło pamięć dawnych żalów i kwasów, a nie powetowało żadnej ze strat naówczas poniesionych, z których największą jest niezaprzeczenie zabicie zaufania wzajemnego.

Zjazd członków Towarzystwa przyjaciół nauk ustalił dalszy byt i rozwój instytucyi, przez związanie muzeum i zbiorów rzeczonych Towarzystwa z nazwiskiem hr. Mielżyńskich. Spadkobiercy hr. Seweryna Mielżyńskiego zapewnili Towarzystwu wszelkie rękojmie, ubezpieczające własność jego ze strony materialnej. Przed zimą rosnące wciąż zbiory mają być przeniesione do wykończonego muzeum, gdzie w odpowiednim pomieszczeniu uwydatni się jeszcze bardziej niepoślednia ich wartość. Żywimy przytém nadzieję, że hrabia August Cieszkowski dołączy także szacowny swój zbiór obrazów do galerii Towarzystwa przyjaciół nauk. Rocznik Towarzystwa wkrótce wyjdzie z druku, zawierając, jak zwykle, nader ciekawe rozprawy.

Podczas gdy Towarzystwo przyjaciół nauk tak świetnie się rozwija i ustala, ze smutkiem zaznaczamy stratę innej instytucyi, która, z powodów od siebie niezależnych, chwilowo zmuszona jest do zawieszenia swych czynności. Szkoła rolnicza imienia Haliny, istniejąca od lat kilku w Żabikowie pod Poznaniem, nie może się dłużej utrzymać, odkąd niewolno przyjmować do niej uczniów, z po za granic w. ks. poznańskiego przybywających. To ograniczenie uczyniło dalszy rozwój szkoły agronomicznej całkiem niepodobnym. Postanowiono tedy na walnym zebraniu akcyonaryuszów spółki wprawdzie nie rozwiązać, ale zawiesić szkołę na czas nieograniczony, począwszy od dnia 1-go października r. b.

Z dniem 15 czerwca Towarzystwo akcyjne, związane przed półtora roku, otworzyło zakład solankowy, kąpielny w Inowrocławiu, obok królewskiej warzelni soli. Porównanie go z szesnastu najświetniejszymi solankowemi zdrojowiskami wykazuje jasno, że tylko Kreuznach i Słonawy stoją wyżej od solanek inowrocławskich pod względem części składowych leczniczych, i to Kreuznach co do zawartości soli jodo-bromowej, a Słonawy (Salzungen) co do części chlorkowych. Urządzone wygodne bardzo łaźienki wśród parku, gdzie się również znajduje restauracya i dystrybucyja wód mineralnych. Położenie Inowrocławia ze wszech miar zachęcić może gości do szukania tu zdrowia i wypoczynku. Miasto rozciąga się malowniczo nad historycznym Gopłem, a od kilku lat jest stacją kolei żelaznej poznańsko-bydgoskotoruńskiej. Jedyne to obecnie zakłady wód leczniczych w prowincyi naszej, odkąd zaniechano pięknie urządzonej kąpiel w Dębnie. Wogóle księstwo poznańskie, tak dumne ze swęj urodzajnej gleby i wysoko rozwiniętego rolnictwa, wszystkie bogactwa swe na powierzchni ziemi rozwija, żadnych ukrytych skarbow w swęm łonie nie mieszcząc. Nieliczne kopalnie brunatnego węgla i świeżo założone saliny inowrocławskie niemal jedyny w tój mierze stanowią wyjątek.

Ależ zato powierzchnia ziemi wspaniale się do rolnika uśmiecha, bądź gdy ją złotą obsiwa pszenicą, bądź gdy łanami żółtego rozkwita rzepaku. Obok przyrodzonej żywności gruntu, miło wszędzie widzieć ślady ludzkiej pracy, i to nie dorywczą, ale inteligentną i wytrwałą. Nietylko znać tę pracę na polach i łąkach, w zabudowaniach gospodarskich i pięknie utrzymywanych lasach, ale uderza ona w obsadzonych drogach, w starannie zakładanych ogrodach, słowem we wszystkim co życie na wsi korzystnym i przyjemnym uczynić może. Kiedy dawniej zaledwie pańskie rezydencye otaczały się ogródkami, a dworki szlacheckie słyły z rozwalonych płotów i zarosłych trawą ścieżek, dziś niema już prawie chaty włościańskiej, któraby nie posiadała kilku drzewek, ładnie zdobitych wejście do umiejętnie prowadzonego sadu, grządek z kwiatkami, liści winogrodowych, uprawiających w zie-

loność okna, ba! nawet i róż wysokopiennych, i szlachetnych owocowych szczeptów. Przykład i pochop cywilizacyjny przyszedł z góry i należy się wdzięczność nie miała tym zacnym obywatelom, którzy rozwinęli w naszym społeczeństwie zamiłowanie wiejskiej przyrody i wykształcenie zmysłu estetycznego, obok praktyczności. Turwia generała Chłapowskiego, Kobyłpole hr. Józefa Mycielskiego zasłynęły pięknymi ogrodami, obok wzorowego gospodarstwa, przekonywając dowodnie sąsiadów, że można być bardzo utylitarnym, bardzo skrzętnym agronomem, nie zaniedbując i tych stron wiejskiego życia, które je uprzyjemniają i uszlachetniają. Ztąd prąd ten całe ogarnął księstwo: namnożyły się ogrody, a wśród nich nierzadko powstały i piękne rezydencje. Do dawniejszych przychodzi nam obecnie zaliczyć i Gołuchów, tak starannie dziś przez właścicielkę, hr. Janową z Czartoryskich Działyńską, upiększony. Położenie Gołuchowa nadawało się wybornie do artystycznych zamysłów obecnej jego pani. Miejsce to urocze, otoczone zewsząd pięknymi lasami. Opodal płynie Proсна, odgraniczająca księstwo poznańskie od królestwa polskiego. Gołuchowo obfituje w historyczne pamiątki: ztąd pochodził znany w dziejach naszych Zbylut; ztąd też wywodzi swój początek dwa znakomite w b. rzeczypospolitej rody Gołuchowskich i Leszczyńskich. W kościele miejscowym po dziś dzień odprawiają się msze fundacyjne za dusze Kaźmirza, Wacława, Rafała i Anny z Rozrażewskich Leszczyńskich. Tutaj także przechowuje się czapka aksamitna, fioletowa, którą Rafał Leszczyński wojewoda brzeski i marszałek sejmiku piotrkowskiego w 1552 r. w dzień Oczyszczenia Najświętszej Panny, stojąc przed królem Augustem, w uniesieniu kacerskiej pychy „śmiało“ nakrył głowę podczas podniesienia. Nawrócony, w dowód szczerzego żalu, kołpak ów zawiesił w gołuchowskim kościele. W Gołuchowie też zbierali się polscy innowiercy na synod w 1555 r. Król Stanisław nieraz tu bywał. Po Leszczyńskich Gołuchów w różnych znajdował się rękach i rodach. Między innymi był jego właścicielem ów Suchorzewski, który na klęczkach błagał Stanisława Augusta, aby konstytucji 3-go maja nie przyjmował, a którego pendzel Norblina zachował potomności. Od tego Suchorzewskiego poczęła się straszna ruina zamku Leszczyńskich, zbudowanego w stylu XVII wieku.

Dziś hrabina Działyńska zabrała się do odbudowania i zrestaurowania zamku w pierwotnym stylu. Sławny architekt francuzki, p. Viollet-le-Duc, w przeszłym roku bawił w Gołuchowie, nie szcędząc światłych swych w tej mierze i umiejętności wskazówek. Robotami kieruje p. Cybulski z Poznania. Za cztery lata zamek ma być gotów, a wtedy stanie się ozdobą nie tylko okolicy, ale i całego księstwa. Jeżeli zaś sam zamek tak będzie wspaniałym, coż dopiero powiedzieć o pysznych zbiorach i pamiątkach, które zostaną w nim złożone? co o obrazach i przedmiotach artystycznej wartości, których hr. Działyńska tak cenne posiada zbiorów, by tylko wspomnieć niezrównane majoliki? Dawny, zaniedbany ogród przemienia się pod osobistym, pełnym smaku kierownictwem właścicielki we wspaniały park, długi na trzy kilometry, nad żartko płynącą Trzema. Do starych lip, olsz i dębów, dosadzono już tysiące drzew swojskich i zagranicznych. Niema może na świecie drugiej tak kompletnej kolekcji najprzeróżniejszych koniferów, które z czasem staną się ciekawą specjalnością gołuchowskiego ogrodu. Wszystkie bowiem rodziny drzew iglastych, tak trafnie nazwanych *la parure de l'hiver et le deuil de l'été*, tutaj są przedstawione. Gołuchów posiada też jeszcze dwa cmentarzyska pogańskie, gdzie brat hr. Działyński, książę Władysław Czartoryski, liczne już robił poszukiwania i wiele urn wy dobył. Znawcy powiadają, że na jednym musiano grzebać uboższych, a na drugim bogatszych, bo w ostatnim znajdują się urny misterniej wykonane i z zabytkami sztuki.

Rozpisawszy się zbyt może obszernie o Gołuchowie, przechodzę teraz do wiadomości z dziedziny literatury. Niespracowany p. J. K. Żupański uzupełnił piękne dzieło świeżo zgasłego hr.

Maryana Czapskiego *O koniu* atlasem, zawierającym siedemdziesiąt pięć tablic, z rysunków własnoręcznych autora, rytowanych na miedzi przez Jaroczyńskiego. Atlas ten przedstawia typy koni rozmaitych krajów i wszystko co się do tego przedmiotu od najdawniejszych czasów odnosi. Konie ruskie, z natury rysowane, nadzwyczaj są ciekawe. Część starożytna znakomita; dla archeologów zbiór to nieoszacowany. Począwszy od głów końskich z czasów przedhistorycznych, do chińskiego konia w bojowym rynsztunku, co za bogactwo świadectw pomnikowych o koniach i zaprzęgach! Wóz i zaprzęg indyjski, konie z czasów panowania XIX dynastji w Egipcie, koń z Karnaku, centaury, amazonki konno, typy z monet greckich, zaprzęgi z monumentów rzymskich i waz dawnych, z płaskorzeźb perskich i asyryjskich, z fryzów Partenonu, z kolumny Trajana i t. d. Słowem żniwo ogromne i skarbnica niewyczerpana.

Dla miłośników ksiąg traktujących o hipicznych zabawach i zajęciach wspomniemy jeszcze, że znany *sportsman* niemiecki, Jerzy hrabia Lehdorff, napisał nader ciekawą książkę o sporcie u starożytnych, p. t. *Hippodromos. Einiges über Pferde-Rennen im griechischen Alterthum*.

Pan Żupański obiecuje nam jeszcze dalszy ciąg pamiętników Niemcewicza i Leona hr. Potockiego, zbiór prac dramatycznych Karola Drzewieckiego, biografią H. Skirmuntowej przez Zaleskiego i t. d. Tygodnik *Warta* wydaje seryami nadzwyczaj ciekawe rysy z dziejów prześladowania katolików w Anglii, które potem w osobnych drukuje odbitkach. I tak otrzymaliśmy już piękną powieść, osnutą na tle historycznym, p. t. *Tyborne*, następnie biografią *Jerzego Gilberta*, obfitującą w listy i dokumenta społeczne; teraz zaś *Warta* znów drukuje koleje i przygody *Lady Babthorpe*. Zważywszy nieprzychylnie okoliczności i dość wybitny u nas księgowstręt, podziwiać tylko możemy czynność i zabięglwość naszych księgarzy i nakładców.

LISTY Z WYSTAWY FILADELFIJSKIÉJ

Sygurda Wiśniowskiego.

V.

PAWILON MASZYN.

Ogromny ten, niekształtny, lecz stosunkowo bardzo tani i praktyczny budynek, mieści najwspanialszy zbiór maszyn, kiedykolwiek zebrany w jedno ognisko, lub pędzony z jednego kotła. Duszą zbioru jest wspaniały motor systemu Corliss, z fabryki tegoż imienia, w stanie *Rhode Island*. Szalone koło tej maszyny ma 30 stóp średnicy i wazy 1012 centnarów, odbywając 36 obrotów w jednej minucie; dwadzieścia kotłów wydaje parę o nominalnej sile 1400 koni, mogącą jednak poruszać mechanizm, wymagający siły 2,500 koni. Koszt tej maszyny wynosi 200,000 dolarów. Poniósł go przedsięwzięcie wynalazca tego rodzaju maszyn, pan Jerzy Corliss. Narzędzia poruszane przez nią okrywają przestrzeń 10 akrów, i gdyby je w jednym ustawiono szeregu, tworzyłyby szpaler, mający dwie mile długości. Pasów łączących je z głównym ogniskiem obrotu dostarczył bezpłatnie dom inny, dla ustalenia reputacji swych skórzanych wyrobów. Główna maszyna porusza za ich pośrednictwem 800 mniejszych.

Ramy mego opisu nie pozwalają mi rozwodzić się szczegółowo o ciekawych, żyjących prawie narzędziach, obdarzonych parą zamiast krwi, muskułami stalowymi, palcami śpiżowymi i potulnie spełniających rozkazy ludzkie. Nie mogę się jednak oprzeć pokusie i wspomnę o nich choć w krótkości.

Tkaczki i przedzalnie z Londynu i Glasgowa, maszyny do szycia amerykańskie, przyrządy do cukrowni z fabryki Mirlesa i Taita w Glasgowie, radziłbym obejrzyć przemysłowcom polskim, szukającym rzeczy tego rodzaju. Pomiędzy angielskimi krośnami tkackimi najbardziej mnie za-

stanowił okaz systemu Jacquard, tkający portrety Lincoln, Granta i innych znakomitości. Najlepsze okazy rafinerji cukrowych znajdują się w oddziale francuzkim. W oddziale belgijskim widziałem bardzo ciekawy i użyteczny świder do wiercenia osiem stóp średnicy mających studzien. Dla górników musi on posiadać nieocenioną wartość.

doskonałe maszyny do fabryk sukien przyślano z Verviers. Tartaki ze Stokholmu ubiegają się o pierwszeństwo z amerykańskimi. W drukarniach parowych maszyna Waltera, używana przez Timesa londyńskiego, rywalizuje z Bullockiem, głównie spotykanym w wielkich amerykańskich gazetach. Nowojorski Herald i Times odbijają codziennie po kilkanaście tysięcy egzemplarzy na prasach Bullocka. Z drukarni ręcznych, mianowicie służących do odbijania cyrkularzów, biletów i t. d., najlepiej mi się podobały amerykańskie. Radziłbym drukarzom polskim poznać się z zaletami tych tak zwanych *job-press*, systemu Gorhona. Wydawcy nasi powinni także poznać system stereotypów *papier-maché*, używany nawet w tygodniowych tutejszych wydawnictwach.

Przechodząc do maszyn angielskich, wspomnę tak zwane *road-streamers*, lokomotywy o szerokich kołach, podróżujące po zwykłych drogach, siłą własnej pary. Kilka tych praktycznych rumaków żelaznych pracuje od pierwszego dnia przybycia do Filadelfji, przyczyniając się do przyspieszenia wystawowych robót. Wożąc asfalt, podnosząc żurawiami głazy, krążąc po parku fairmonckim bez wytchnienia, dobrze się przysłużyli ci goście zamorscy swym gospodarzom. Najpracowitszym i najlepszym z nich podobno był egzemplarz, przyślany przez braci Appleby z Londynu.

W spółzawodnictwie między Anglią i Ameryką, europejscy fabrykanci dowiedli swej wyższości w wyrabianiu wielkich mas żelaza i ciężkich maszyn. Angielskie młoty parowe, prasy hydrauliczne i maszyny morskie bezwątpienia otrzymują nagrody. *Road-steamers* i pługi parowe, mniej używane w Ameryce, także tylko Anglia w całej doskonałości wyrabia.

Przyznać wypada że, prawdopodobnie wskutek ciągle powtarzanych wystaw, coraz mniej różnią się pomiędzy sobą maszyny rozmaitych krajów. Uważałem że nawet znawcy, nieobeznani z podziałem gmachu, mylą się tu często, biorąc wyroby francuzkie, niemieckie lub angielskie za tutejsze i *vice versa*. Ciągła zamiana pomysłów i poprawek zacięra cechy narodowe, niweluje wyższość tego lub owego społeczeństwa i podnosi uczniów do stanowiska mistrzów.

W lokomotywach, wozach i wszelkich przyrządach, należących do kolei żelaznych, Amerykanie, (wedle zdania bawiącego tu i nadziwić się ich doskonałości niemogącego polskiego mechanika) przeszli Anglików. Posiadają oni niezliczoną ilość pomysłów, codziennie tu używanych, a w Europie ledwie znanych, przyczyniających się do wygody i bezpieczeństwa podróży i zmniejszających koszt ruchu, więc i cenę frachtów na tutejszych kolejach. Sam kształt ich wagonów, rozkład kół, urządzenie sprężyn i t. d., bardzo się przyczyniają do łatwości, z jaką tutejsze pociągi objeżdżają łuki o średnicach szczupłych, lub pędzą bez szwanku po dziwnie wątkach wiadutkach i na pozór nie dbale usypanych szlakach.

Jak w kolejowych przyrządach, tak i w maszynach do tłuczenia rudy i kamieni, amalgamatrach, świdrach górniczych, wagach na wielkie rozmiary, elewatorach hotelowych i magazynowych, przyrządach parowych do ogrzewania domów, zastosowaniu pasów w miejsce zębów przy transmisyach sił parowych i wielu innych rzeczach, polscy mechanicy powinni studyować amerykańskie modele, wedle zdania znawców o wiele od angielskich lepsze. O rolniczych narzędziach obszerniej zamierzam mówić w osobnym sprawozdaniu.

Tu wspomnę nawiasem o powozach amerykańskich, już-to służących do ciężkiej pracy, już zbyt kowych. Utworzono z nich osobną wystawę, w sporym pawilonie, obok głównego pałacu. Od dzieciennego wózka do kocza paradnego wszystko

tam postawiono. Gust, zgrabność amerykańskich pojazdów i oszczędzanie siły pociągowej w skutek ich lekkości, uderzą tam każdego bezstronniego gościa. Modele te trudno naśladować w Europie, gdyż drzew równie lekkich a trwałych nie mamy. Zdałoby się jednak poznać z temi modelami dokładnie. O ileż piękniej i praktyczniej wyglądają karyolki tutejsze od tuż obok nich stojących angielskich i francuzkich! Wozy farmerskie i miejskie, służące tu do ciężkiej fornalki, niemniej korzystnie porównać można z europejskimi.

Wracając do pawilonu maszyn i idąc, gdzie natłok widzów zapowiada coś ciekawego, spotykamy w oddziale amerykańskim fabrykę zegarków Walthama, o których dokładności oddawna już się przekonałem. Przeszło 20 młodych kobiet w niej pracuje, pod dozorem jednego mężczyzny. Okoliczność ta przypomina mi jak szerokie pole dla ubogich niewiast otworzono w Ameryce, przez pozbywanie się o ile można robotników męskich z warsztatów, gdzie więcej chodzi o zręczność, niż o silne mięśnie. Ztąd-to w Nowej Anglii mianowicie istnieją miasta, gdzie ludność żeńska dwakroć od męskiej jest liczniejsza. Dziewczęta zostają tam przy fabrykach, a chłopcy, opuszczając gniazdo rodzinne, idą na zachód, by w borach, przy roli lub w kopalniach znaleźć stosownie dla siebie zajęcie.

Robotnice Walthama zadziwiają nawet szwajcarskich zegarmistrzów swą zręcznością. Czulość ich białych i delikatnych palców pozwala im na przykład liczyć z niepojętą szybkością kamienie, drobne jak ziarna maku. Pewna ilość tych kamyczków idzie do każdego pudełka, stojącego przed niemi, niema zaś wypadku, by która z nich mniej lub więcej niż przepisana ilość odliczyła.

Wielki ścisk bywa też zwykle około sadzawki urządzonych w pałacu, z której i do której pompują wodę zapomocą pomp i sikawek niezliczonych, przez różne kraje przysłanych. Anglicy twierdzą jakoby ich pompy najlepszymi były; ale francuzkie turbiny najbardziej podobały się znawcom.

W aneksie przy pawilonie maszyn znajduje się także dużo hydraulicznych przyrządów. Tam też szumi sztuczny wodospad, Niagara zwany, mający 30 stóp wysokości. Wyglądałby on wcale poważnie, nawet obok niektórych alpejskich kaskad.

Europa i Ameryka idą w zawody, pomimo pokojowego tubylców usposobienia, w gałęzi zabójczych narzędzi. Anglia popisuje się z płytą stalową pancerną jedenasto calową i armatą Palisera, która ową płytę na 8 cali przebiła. Aż mrowie mię przechodzi, gdy patrzę na te pomysły tygrysięgo rozumu. Uciekając od nich, wpadam na cały arsenał Kruppa, od działa sławnego, pod którym pękły wagony i mosty amerykańskie gdy je z okrętu do wystawy wieziono, do haubic górskich. Wspomnionego działa zazdrościsz inne narody Teutonów. Jest też czego zazdrościć, bo ciskać może kule dwunasto-centnarowe. Ja jednak dziękuję niebu, że żyję w kraju gdzie tylko raz na lat sto takich dział używają, pomimo że i jego rząd posiada dwudziesto-calową armatę w innej części wystawy.

WYSTAWA OGRODNICZA.

By zatrzeć wrażenie wywołane nienawistnym widokiem narzędzi śmiercionośnych, przejdźmy do pawilonu ogrodnictwa, najgustowniejszego w Fairmont-parku. Wrażenie przyjemne, wywołane na pierwszy widok tego szczęśliwego naśladowania maurytańskich wzorów, zacięra się cokolwiek przy bliższym oglądaniu. Nadto tu arabskich, a barwy jaskrawe nie dopełniają się harmonijnie. Wybaczmy te usterki, tę zbytnią wymuskanosć, choćby wodwet za kląby tulipanów i hyacyntów, za zielen gajów, otaczających pawilon, Wśród nich wyrastając, jaskrawy pałac rysuje się na niebie, czystym jak błękit Andaluzji. Majowe słońce opasuje złotym rąbkiem każdą strzałę i filigran, a kształty ich fantastyczne tém dobitniej odbijają od tła zieleni i szafiru.

Wnętrze pałacu opisać trudno, choć łatwo je sobie wyobrazić temu, kto zwiędzał wielkie cie-

plarnie europejskich stolic. W sztucznej atmosferze, technącej wilgocią i ciepłem, kwitną egzotyczne kaktusy, dojrzewają złote pomarańcze i cytryny i bujają palmy. W czystych wodach odzwierciadlają się pulchne, delikatnie i bogato, jak ptaki brazylijskie, ubarwione liście najrzadszych południowych roślin. W jeszcze wilgotniejszym i cieplejszym oddziale paprocie i mehy zwrotnikowe w obficie podlewanych wybujały wazonach.

Tu, z wysp Spokojnego oceanu, przysłano rośliny w wazonach w kształcie dzbanów, niby do pojenia sylfów stworzonych. To *Anthurium Williamsii*, kwiat flamingów, o koronach purpurowych, na długich jak ptasie szyje kielichach, zaćmiwiający barwą jaśmin pasowy japoński. Obok nich sosna norfolkska, o wiotkim pniu, nęciłaby dryady do spoczynku w jej cieniu. Czuby paprociowe, z wysp hawajskich i Australii, wiszą na pniach garbatych, luską odzianych, i powiewają kitami od strusich piór delikatniejszymi. Palma sagowa, od wieków rosnąca w zaciszu amerykańskiej willi, wygląda jakby ją wprost z nad granic Sahary przywieziono.

Grupy gipsowe, kopie arcydzieł marmurowych, urozmaicają ten zbiór botaniczny, który i po zamknięciu wystawy tu zostanie, dla ozdoby parku fairmonckiego i przypomnienia Filadelfijskiego światła, raz na lat sto oglądanego widowiska.

GMACH RZĄDOWY.

Rząd Stanów Zjednoczonych, kosztem kilkukroć stutysięcy dolarów, urządził w Fairmont-parku wystawę oficjalną, przedstawiającą dokładnie urządzenia niezbędne do kierowania wielkim narodem. Każdy departament ministeryalny przysłał tu miniaturę swych biur, lub kopie używanych przezeń narzędzi. Armia ma tu obóz, wały, szpital i telegraf polowy, fabrykę broni, od rewolwerów aż do armat, zbiory narzędzi zabójczych i chirurgicznych. O ludzka głupoto! pomyślałem, patrząc na to, silisz się najpierw na wymyślenie tortur, by chętnie się później antydotem na sprawione niemi rany!

Marynarka wystawiła modele monitorowych wież, o ścianach z dwudziesto-calowej stali, armat których i Krupp by się nie powstydział, i nowego pomysłu torpedy, mogącej zmieścić 30 funtów dynamitu i 300 prochu, by z podwodną tą miną, wedle kierunku danego im dowolnie zapomocą drutu telegraficznego, nieść cios śmiertelny tysiącom biędnych marynarzy. Potwór ten wygląda jak ogromne cygario, porusza go zaś wewnątrz ścięzione powietrze.

Laternie morskie rozmaitych rozmiarów i systemów, migające, rotacyjne i stałe, przysłano z biura oświetlającego brzegi Ameryki. W tymże oddziale spotykamy modele słynnych latarni morskich i przyrządów używanych przy podwodnych pracach, jako to kofferdamów, pomp, ryszunków nurków i t. p.

Urząd pocztowy stempluje w naszych oczach, bije marki i koperty nowego wzoru, na cześć stu-letniego jubileuszu. Mennica pokazuje nam swe narzędzia do bicia monety, prasy, płyty i papier do robienia papierowych pieniędzy. Biuro rolnicze przysłało zbiór nasion, owoców, kłód i włókien wszystkich amerykańskich użytecznych roślin. Połów śledzi, wielorybów, sztokfiszów i wszelkich morskich i rzecznych tworów, karmiących lub odzieżających człowieka, objaśniono modelami. Są tu foki, lwy morskie, zwierzęta leśne i stepowe. Doskonały zbiór minerałów z całej Ameryki pokazuje nieprzebraną jej w tym względzie obfitość. Jako ciekawość złożono tu aerolit sławny, wyglądający jak pierścien z magnetycznego żelaza i 12 centnarów ważący. Fotografie nowo odkrytych okolic w tajemniczej tej krainie, cudne widoki z Montany, Gór Czarnych, Sierrów i Gór Skalistych, obeznają w pół godziny europejskiego gościa z pięknosciami tutejszej Szwajcaryi. Na innych, jeszcze ciekawszych fotografiach widzimy wierne kopie miast wykutych w skałach, odkrytych przed rokiem, a zamieszkałych przez niedobitki Azteków.

Sławne zbiory geologiczne i botaniczne, z wa-

szynngtonskiego, tak zwanego Smithsonskiego muzeum, także tu przeniesiono, wraz z najcenniejszymi okazami modeli, z gmachu patentów w Waszyngtonie.

Miniatury najrozmaitszych maszyn i narzędzi, po większej części wynalezionych w Ameryce, zapełniają długi szereg szaf. Studyowanie ich uważne jest bardzo trudne, poczęści dla braku katalogu, bez którego niepodobna się orientować pomiędzy tysiącami niewielkimi od cegieł modeli, poczęści wskutek umieszczenia ich w zamkniętych szafach. Okazy te pozostają więc dla widza grupami błyszczącej stali i mosiądzu, kółek, walców, płyt i prętów. Ztąd na jedną z najciekawszych części filadelfijskiej wystawy ledwie setny gość przelotnie spojrzy.

WYSTAWA ROLNICZA.

Ogromny ten gmach, o niskich, zielono pokostowanych dachach, ledwie dojrzeć można pomiędzy zielenią parku. Wnętrze jego pokrywa akrów 12; jest więc drugim z rzędu co do rozmiarów pomiędzy wystawowymi pałacami.

Na tej przestrzeni pokazują nietylko plony roli, lecz wszystko co z rolnictwem w bliższej jest styczności. Cokolwiek ludzium służy za pokarm, od jarzyn aż do ryb, co tylko przyczynia się do okrycia naszych ciał wątłych, to wszystko tu się znajduje nagromadzone. W skutek tej obfitości i różnorodności rzeczy li użytecznych, część ta wystawy omal że jest najciekawszą dla polskich gości.

Odkładając na później wyszukiwanie plodów przez naszych rodaków przysłanych, zajmę się w niniejszym opisie zagranicznymi. Ameryka zajmuje dwie trzecie części pałacu, zasługując dokładnością swych okazów na taki monopol. Tylko południowe jej Stany, z niedbałością charakterystyczną, zaniechały przedstawienia swych okazów rodzimych.

Wina kalifornijskie, z nad Ohio i jeziora Erie, poznane już w Wiedniu przez Europejczyków, znów tu wołają o uznanie. Dobroci ich zaprzeczycie niepodobna. Pomimo tego nikt ich nie używa prawie w Ameryce. Majętni tubyley zalęwają się francuzkami winami, choćby fałszywymi; ubodzy zaś wcale wina pić nie chcą. Właściciele winnic nie rozumieją, że wyrób win tanich, odpowiadających francuzkiemu *vin ordinaire*, mógłby odciągnąć smak narodowy od wódek i piwa. Pokazując zbyt drogie dla zwykłych kiesek naśladowania win burgundzkich lub reńskich, nie przysłałi odpowiedniego codziennym wymaganiom.

Okazy ziarn, nasion i owoców amerykańskich, ustawiły w grupach pięknych już to towarzystwa mające ziemię na sprzedaż, już Stany wabiące emigrantów europejskich dowodami, jak ogromną przestrzeń uprawną lub do uprawy zdolną posiadają. Z wyjątkiem rzadkich tropikalnych owoców, wszystko tu ujrzyć można, co człowiek z ogrodów lub pól zdobywa pomiędzy zwrotnikami i strefą wiecznej zimy.

Wiadomo wam zapewne, że chów ryb ważną tworzy gałąź w gospodarstwie amerykańskim. W częściach naszego kraju, obfitujących w stawy i rzeki, możnaby naśladować niejedno tutejsze urządzenie, ku mnożeniu i karmieniu wodnego drobiu. Zakład w Gloucester (Stanie N. York) przysłał tu modele sadzawek i przyrządów na ten cel używanych. Ryciny i broszury, objaśniające tryb ich gospodarstwa, zdałoby się do nas sprowadzić.

W części poświęconej produkcji z nabiału także wielebyśmy się mogli nauczyć, chociaż gospodarze nasi nie mogą iść w zawody z ogromnymi tutejszymi fabrykami masła i sera. Tu system zjednoczenia łączy często gminę farmerów w towarzystwo wyrabiające nabiał zapomocą siły końskiej lub parowej. U nas, zwłaszcza przy nędznej płacy dziewczek, ręczna praca wystarcza, i obchodzimy się bez zbyt kosztownych przyrządów. Zdałoby się jednak naśladować dowcipne amerykańskie ręczne masielniczki, czystość wzorową sernic i łączenie się w towarzystwa, w celu

znalezienia najkorzystniejszej targowicy dla swych wyrobów.

Oddział angielski rolniczy celuje okazami konserw. W kraju o setkach tysięcy marynarzy, sztuka przechowywania pokarmów w stanie świeżym doszła do wielkiej doskonałości i ważną odgrywa rolę. Dowód tego mamy w Filadelfii, gdzie Anglia posiada monopol w popisaniu się tego rodzaju rzeczami.

Długo chodziłem po austriackim, szczupłym oddziale, by znaleźć w nim choćby cień dowodu dla Amerykanów, że wystawa monarchii tej, przeważnie rolniczej, zasługuje na uwagę. Oprócz zbiorów zboża węgierskiego i kos z podejrzaną stali, ułożonych w godło: *Gott segne unsere Erndte*, nic w niej nie znalazłem godnego uwagi, z wyjątkiem przedzani wełny, z Pesztu przysłanej.

Hiszpania i nieszczęśliwa, deptana przez zamorskich katów Kuba, obesały wystawę w zupełnie inny sposób, niż niedbali austriacy gospodarze. Po krótkiej przechadźce można tu dowiedzieć się co te kraje produkują, co w każdej ich części jest głównym źródłem bogactwa. Zbiór ten odznacza się taką różnorodnością i liczbą cennych produktów, że patrząc na nie, zadałem sobie pytanie, dlaczego kraj tak hojnie przez przyrodę zaopatrzony, tak nędzną odgrywa rolę w wielkim dramacie postępu ludzkiego.

W niemieckim oddziale wina widziałem okazy piwa, mapy objaśniające uprawę chmielu na całej kuli ziemskiej, piramidy z tytoniu, cygar i cygaret, krochmalu wędzzonek i t. p. Trofea te śmieją się przepychem, niezgodnym ze znikomością użytych na nie materiałów. Niemcy i Amerykanie równie w rolniczym pawilonie, jak w głównym pałacu grzeszą zbytnią obfitością pomysłów w grupowaniu i strojeniu okazów. Szafy ich bardziej widza uderzają, niż umieszczone w nich rzeczy. I tak pewien Yankes stoi wędzoną świnkę w jedwab, obwija szynki w atlas, buduje model kamienicy sześć stóp wysoki dla herbaty i t. d. W oddziale niemieckim spotykamy kilkanaście niepokazanych butelek piwa w gaju ze sztucznych chmielów, przed fasadą bramy tryumfalnej. Patrząc na chmiel i fasadę, nie dojrzałem jak się nazywa piwowar podpisany na butelkach.

Francya ze wszystkich enropijskich krajów ma pono najrozmaitszy i najcenniejszy zbiór rolniczy, lecz dzięki powolności pracujących tu francuzkich robotników, tak je niedbale rozpakowuje i ustawia, że zrzekłem się już prawie nadziei, abym kiedykolwiek więcej ujrzał, niż zwoje papieru, w których mają być wina, okazy surowego jedwabiu, zboża, oliwek i t. d. Tylko fabryki koniaku, którym widać bardzo chodzi o odbycie w Ameryce, urządziły już zupełnie swe szafy i piramidy z beczek i butelek.

Przystępuję teraz do przedmiotu najważniejszego dla naszych gospodarzy—do maszyn rolniczych. W tym oddziale Amerykanie, bez najmniejszej wątpliwości, pod każdym względem zawstydają Europę. Najlepsze okazy zaatlantyckie wydają się niezgrabnemi, ciężkiemi, niepraktycznemi, obok cacek przez Amerykan dostawionych. Duch gonienia za reklamą przebija się mianowicie w ich umiejętności przedstawiania swych wyrobów w jaknajlepszym świetle, bez względu na koszt. Każda prawie celniejsza fabryka ma tu po pługu i żniwiarce z orzecha lub mahoni, z radłami i kołami lśniącymi jak srebro. Tym przepychem zwracają uwagę gości i zatrzymują go na chwilę. Z tej chwili korzysta cicerone, czuwający nad okazami każdej fabryki, przybiega, chwytając gościa wyglądającego na rolnika lub kupca maszyn i objaśnia mu dobre strony swych wyrobów.

Inni przemysłowcy jeszcze dowcipniej polują na publiczną uwagę. Ten postawił wierną kopią młyna z r. 1776, z omszałym dachem i ścianami zamoczonemi, obok swych kamieni, pytlów i modeli najdoskonalszego młyna, na jaki wiek nasz zdobyć się umiał. Inny ma pług przedwieczny, ów może, którego odbiegł sławny Putman, by stanąć na czele amerykańskich patryotów przeciw Anglikom. Narzędzie to, o drewnianym lemieszku, tak mi przypominało podolskie nasze dziwolągi, nie-

stety do dziś tam spotykane nietylko na bródach kmiotków, lecz i na pańskich łanach, że ledwie je porównać chciałem z przeslicznemi, stalowemi pługami nowoczesnemi. Porównyując te ostatnie pomiędzy sobą i z angielskimi pługami, mianowicie ze słynnemi wyrobami panów *Simpson et Reeves*, musiałem przyznać że nietylko Europa, lecz i nadatlantyckie Stany w Ameryce nie podobnie praktycznego jak Chicago i otaczające je kraje nie wyrabiają. Są tu pługi z fabryki South Bend, nad jeziorem Michigan, gdzie kilkuset Polaków pracuje, które zdałoby się umieścić przy pierwszej sposobności na warszawskiej wystawie rolniczej, dla nauki naszych fabrykantów.

Pomiędzy żniwiarkami pierwsze zajmują miejsce tak zwane *harvesters*, do których wystarczają dwa tegie konie, chłopak, fernal i dwóch po amerykańsku pracujących wiaźalników. Ci jadą na maszynie, wiażąc i składając snopki na rodzaju stołu, z kądem, gdy tuzin ich się zbierze, ciskają je na pole, by chłopak biegnący za żniwiarką składał je w półkopki. Zapomocą takiej żniwiarki sam 8—10 akrów gęstej i cokolwiek splątanej pszenicy żąłem dziennie.

Mac Cormack z Chicago i *Wood* z Illinois pokazują tu coraz bardziej w używanie wchodzące w Ameryce *Self-binders*, żniwiarki wiażące własne snopy drutem. Trzy konie i fernal wystarczają do tej pracy. Oprócz oszczędzenia wiaźalników, nie marnują tyle zboża, co inne.

Młockarnie amerykańskie tu przysłane, o wiele lżejsze, łatwiej przenośne i piękniejsze od europejskich, mogłyby zdobić nietylko stodoły, lecz nawet domy nasze. Policzylem 13 różnych systemów na obecnej wystawie. Różnią się one nietylko urządzeniem cepów i t. d., lecz i wynalazkami do składania wymłóconej słomy w sterty, której-to pracy nikt widłami nie wykonywa w Ameryce.

Grabie, widły, łopaty, noże do siana, siekiery i t. d. amerykańskie zbyt już dobrze są znane, bym rozpisywać się potrzebował o ich wyższości. Europa nie godnego porównania z niemi nie przysłała. Siewniki i siewkarnie spotykałem równie dobre w rozmaitych oddziałach.

Pomiędzy europejskimi okazami godnymi uwagi wymienię francuzkie *boures*, kamienie młyńskie niepospolitego gatunku. Austriacka suszarnia chmielu, angielskie lane żelaza, ceramiczne wyroby, pożyteczne i piękne zarazem, oraz szwedzkie ostrza rozmaite zasługują na uwagę. W oddziale niemieckim nadaremnie szukałem rzeczy poznańskich. Mówiono mi, jakoby rząd nie chciał uznać jednego z tamtejszych towarzystw agronomicznych i przyjąć okazów w jego imieniu ofiarowanych.

Cała wystawa agronomiczna niemieckich narzędzi nie zasługuje na wspomnienie; nawet Hiszpania i Brazylia lepiej się od Germanii spisały w Filadelfii. Sąd ten może się wam wyda płodem przesady, szowinizmem. By nie narazić się na zarzut taki, usprawiedliwię go krótkimi wyciągami z gazet amerykańskich.

Nowy York posiada trzy wielkie pisma, których sąd reprezentuje opinią publiczną całego kraju. Są to *Herald*, *Times* i *Trybuna*. *Herald* nie cytuję, gdyż nieprzychylnością jego ku Niemcom wytłumaczonyby jego krytykę; ale przytoczę urywek z *Trybuny*, w sprawozdaniu o galerii sztuk pięknych, gdzie brak niemieckiego taktu jeszcze się jawniej pokazał, niż w innych oddziałach wystawy.

Times, wielki przyjaciel Niemców, niech teraz posłuży mi na poparcie mego sądu. W ocenie wystawy, umieszczonej w numerze z 18 maja, spotykam długi artykuł o niemieckich okazach, a w nim ustęp tej treści:

„Jeden przynajmniej naród europejski przysłał do Filadelfii okazy, kompromitujące wystawców i wystawę. Od Japonii spodziewaliśmy się mało, a Japonia przysłała najpiękniejszy zbiór w głównym pałacu. Szwecya, Norwegia i odległe angielskie kolonie przedstawiły nam widok podziwienia godny. Żaden z tych krajów nie liczy na zysk pieniężny, pośredni lub bezpośredni, z wydatków i pracy, poniesionych dla uświetnienia

naszego jubileuszu. Niemcy, przeciwnie, liczą na to i otrzymać też mogłyby wynagrodzenie pieniężne, w postaci odbytu na swe towary. Lecz skąpy ten lud, tak czuły na widoki materyalne, pomimo nich i sobie i nam ubliżył swą wystawą. I takżeż nas wynagradza za współczucie, jakim go obdarzamy nad inne ludy europejskie?“

W innem miejscu *Times* pisze:

„Na każdym kroku w rolniczej i przemysłowej niemieckiej wystawie przekonywamy się, że Teutoni uważają nas za naród bez smaku i sądu, za zgrają głupich, łakomych dorobkiewiczów, którym lada czém, byle jaskrawém i taniém, dogodzić można. Im prędzej pozbędą się tego złudzenia, tém lepiej dla nich. My nie kupujemy rzeczy niedbale wykończonych, przysłanych tu jakby dla wypróbnienia jakiejś *Rumpelkammer* (skład rupiec) niemieckiej.“

NA ROZDROŻU.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH,

przez

Deotymę.

TOM DRUGI.

(Dalszy ciąg.)

I znowu godziny całe nadśluchiwał. Nic! Ani odwiedzin, ani wieści.

Ta bierność zaczynała być nie do zniesienia.

Wiedział że go prędzej lub później czeka straszna scena wzajemnych tłumaczeń. Byłby chciał już raz przebyć tę krwawą operacją serca, a tu nie można ani jej uprzędzić, ani przyspieszyć, ani się doczekać!

O dziesiątej wieczorem, kiedy już zwątpił, aby ktokolwiek do niego się zgłosił, wstał, czując że samz sobą dłużej nie wytrzyma. Zaprağął jakiejś ludzkiej twarzy, jakiegos żyjącego głosu.

Wyszedł, i ostrzegłszy stróża na wszelki wypadek, aby dobrze uważał czy kto nie wstąpi lub nie zostawi listu, puścił się na miasto.

Do kogo iść? Czy do którego z kolegów? O nie! Tam zawesoło i zagwarno. Mógłby spotkać u nich Alfreda, a ten niewart ażeby go szukać. Obojętny! Przecież to on pierwszy popełnił go na drogę domysłów, rzucił go na pastwę podejrzenia, a teraz ani zajrzy, ani się spyta! I lepiej, bo gdyby zapytał, cóż powiedzieć?

Pod wieczór czas wypogodził się przeslicznie. Różyc, wiedziony wspomnieniami dni lepszych, zaszedł na czwarte piętro profesora Bońki. Tam wiedział że go nie spotka ani fałsz, ani podstępna ciekawość.

Profesor, zgarbiony nad stolikiem pokrytym zdartą ceratą, przy jednej świeczce pisał noty. Pokoik był ciasny i duszny; kurz od książek i dym tytoniu zasuly go mrokiem gęstym; ale oblicze piszącego z po za tych obłoków jaśniało szczęściem i natchnieniem, dwoma promieniami które i najszpetniejszą twarz ludzką umieją przetworzyć na obraz i podobieństwo Boskie.

Usłyszawszy skrzyknięcie drzwi, profesor syknął, jakby zniecierpliwiony przeszkodą, ale wnet serdeczność wzięła górę.

Otworzył na rozcież ramiona.

— Kochany panie Wiesławie! Zastajesz mię w chwili wielkiej, jednej z największych mego życia. Piszę ostatni ustęp mego Aryona.

— Ach! jakże nie w porę przyszedłem! Przepraszam...

— Nic nie szkodzi. Przecież się wena tak zaraz nie urwie. Jesteś nadto ładny i czarowny, abyś miał muzy wystraszyć. Siadaj. Albo nie, piérwej pozwól, niech cię uściskam! Dobrze kiedy jest z kim podzielić się radością. Bo wystaw sobie co to za szczęście kończyć! Zaczynać, ba! to nie sztuka; wtedy zdaje się że wszystko łatwo pójdzie i składnie się złoży. Im dalej, tém ciężiej. Jedno od lasa, drugie od Sasa, i nie chce się razem trzymać. Już w połowie dzieła ręce opadają, zdaje się znowu że wszystko nie nie warte. Ale to zła po-

kusa, trzeba ją odpedzać i brnąć dalej. A tu coraz nowe trudności łeb wychylają i wyją z wszystkich kątów. Ale bo też to nie sonata, ani nawet symfonia, to ni mniej, ni więcej tylko opera. To cały świat, który trzeba z chaosu wyprowadzić. Już z samą instrumentacją robotą jakby sto tysięcy wojska musztrować. A równowaga ról! A dopieroż motywa, ach, te motywa! Krzyż jak czajka, nie przyjdzie bajka. Czasem czekasz i rok i dwa, nim złapiesz osiem taktów szczęśliwego motywu, ale też kiedy go raz masz, to już pół aktu wyrosnie jak na drożdżach. A trzeba się także bronić od zbytniego bogactwa, od tych ładnych a niepotrzebnych epizodów, co się bestyjki proszą, żeby ich nie wypychać. Powiadają ci, skaranie Boskie. Już myślałem że nigdy nie skończę. To zupełnie jak z dawnymi drogami. — Daleko do wsi? — Będzie z mila. — Jedziesz godzinę. Idzie drugi chłop. — A daleko tam jeszcze do tej wsi? — Niedaleko, już tylko z milka. — Ach, żeby to można dla siły twórczej wynaléć jakieś szosy i koleje żelazne! Ale nie, widać Pan Bóg nie chce nam ująć zasługi. A ciężka, trzeba przyznać. Każda praca duchowa idzie, jak to mówią, wołami. Ale idzie. I ja oto jednak dożyłem dnia w którym kończę. Bo skończę, już mi tylko trzydzieści kilka taktów zostaje do obrobienia. To przez noc się wykuję, a teraz, na wytchnienie, zagram ci który z ostatnich kawalków. Naturalnie, fortepian nie może dać dokładnego wyobrażenia; jak wszystko pójdzie z orkiestrą, z chórami, to dopiero zobaczysz. Na tymczasem będę grał piąte przez dziesiąte, a — czuły słuchacz niech w duszy dopięwa.

Pan Benedykt, rozgorączkowany pracą, byłby mógł i godzinę prawić, bez przerwy ze strony słuchacza. Ten siedział nieruchomy, zdumiony że można się tak namiętnie zając przedmiotem odrwanym od życia.

Profesor, zapalając drugą świecę, spojrzał uważniej na gościa.

— Jakże też zmizerniałeś, panie Wiesławie. Cóż u licha? Musisz być słaby.

— Jestem słaby i mocno. A co najgorzej, dusza niedomaga. Zwykle jak niema zdrowia, to niema i humoru, i vice versa. To też przyszedłem tu orzeźwić się, zapomnieć...

— A! kiedy tak, kiedy ci smutno, to nie zagram aryi konania z piątego aktu. Trzeba coś innego... na przykład wielki sekstet, co czwarty akt zamyka. Tu już niema żadnej melancholii, tylko walka, ruch, życie, con brio!

Zagrzmiały tony sekstetu, porywające, potężne. Wiesław chciał się wsłuchać, ale nie mógł samego siebie poznać. Muzyka, która dotąd zawsze niosła mu balsamy, dziś go drażniła, nieledwie gniewała.

Sztuka umie ugłaskać przemijające troski, poetyczne smutki. Ale wobec wielkiej, rzeczywistej boleści, wygląda prawie na ironię, a w każdym razie targa nerwy rozstrojone.

Z wysileniem doczekawszy się końca sekstetu i pochwaliwszy go ze sztucznym zapałem, Wiesław spytał przy pożegnaniu:

— Dawno też profesor był u pani Pelkovej?

— O, strasznie dawno. Może z tydzień już nie wychodziłem. Raz rozmachany w pracy, nie chciałem jej przerywać, ale sobie obiecywałem tę wizytę za nagrodę, jak się dziecku obiecuje cukierek po skończeniu lekcji. To też jeżeli dzisiaj skończę, jutro zaraz pobiegnę pochwalić się i nacieszyć. Już odchodzisz? Nie zatrzymuję cię, kochany chłopcze, powinienes wypać się i wydobrzec. Okropnie wyglądasz. A ja, raz, dwa, trzy, do roboty!

Znalazłszy się znowu między pustymi ścianami swojego mieszkanka, Wiesław uczył osamotnienie, jakiego nie znał jeszcze.

Ni pójsz do kogo, ni do kogo wracać. Ni się przed kim poskarzyć, ni rady zkąd zasięgnąć.

Ogarnęła go czezość tak zabijająca, że zamierzyl choć na kilka dni opuścić miejsca zohydzone i pojechać na wieś do rodziców.

Tam jeszcze znajdzie serca które go nigdy nie omylą, tam będzie mógł wypowiedzieć swoje cier-

pienia i pod błogosławiącą ręką leczyć się powoli z ran odniesionych w boju życia.

Zadawał sobie nawet pytanie, czy nie lepiej zupełnie porzucić urząd i osiąść przy rodzicach na gospodarce. Bo o powrocie do Warszawy nie mógł myśleć bez wstrętu. Życ w mieście, gdzie mieszkają ci, co go tak srodze zawiedli? Spotykać ich codzień w towarzystwach, po teatrach i przechadzkach? Patrzyć na ich tryumfujące szczęście? Ach, stokroć lepiej wyrzec się stolicy, rozrywek, świetnej przyszłości, zmienić wszystkie stosunki i życie skończyć głucho, byle wśród poczciwych ludzi. — Nie chciał jednak nic postanawiać, bez poradzenia się ojca.

Tymczasem nadzieja zmiany pokrzepiła go nieco. Zaczął się pakować, a chociaż mało potrzebował na pierwszą wycieczkę, chociaż mantelczek przedko się zapełnił, porządkował i resztę, w myśli że niezadługo wszystko przyjdzie zabierać.

Układał książki, odczytywał listy; gdyby miał czem rozporządzać, byłby pisał testament.

Zajęcia te przydały mu się na zabicie godzin, bo dobrodziejstwo kamiennéj sennosci już tej nocy nie chciał wrócić. Owszem, był wytrzęziony jak nigdy, myśli jego pracowały z logiką nielitościwą.

Czasem jeszcze porywała go szalona chęć zwątpienia o swoim nieszczęściu.

— Czy ich nie zaprędko obwinilem? Przeznaczenie umie czasem tworzyć pozory prawdopodobniejszego od prawdy i zawikłać je ze złośliwą sztucznością, która i najostrożniejszych omami.

— Może chodziło tylko o panią Irenę? Ale wtedy, czemuż sama intrygi nie prowadziła? Poczoby miała córkę wystawiać na niebezpieczeństwa i obmowę? Ach, zawsze i powtarzam, wszystko jeszcze dałoby się może wytłumaczyć, ale owa tajemnica przed matką! To jedno bezpowrotnie potępia Cecylią. Czemuż trzeba aby taki człowiek jak Alfred miał słusznosc? Oburzałem się na niego, a niesprawiedliwie. Miłość Cecylii dla mego wuja musi już liczyć długie lata. Zamało, za krótko spotykali się teraz, aby uczucie miało z taką przemocą od razu wybuchnąć. Już zapewne *wówczas* matka dostrzegła początki tej skłonności... Niedziw że sama się wahała, że nawet z mężtem ofiary odepchnęła ukochanego, aby w córce nie stworzyć wroga i sobie, i jemu. A podczas owéj nocy fatalnej musiała córka, śpiąca w drugim pokoju, dosłyszec rozmowę, pod której urokiem szala się już przechylała. Matka, przeleknięta jej rozpaczą, postanowiła raz na zawsze przeciąć oburzające to współzawodnictwo, zniszczyć nawet jego możebność, i z dnia na dzień pierwszemu lepszemu bez miłości oddała rękę. Trudno nie przyznać że tym sposobem wszystkie wypadki stają się jasne, — aż zanadto jasne! Co zaszło potem? Trudniej zgadnąć. Musiała Cecylia trwać uporeczywie w zakochaniu, kiedy jeszcze przed rokiem, jak sam wuj napomykał, była mowa o ich połączeniu. Oh, ten wuj! Jam się korzył przed jego wielkością, jak głupiec rozczulałem się nad jego cierpieniami, a on sobie drwił ze mnie! Czemuż nie było powiedziec otwarcie: Mój Wiesławie, obaj kochamy jedną, niech ona sama rozsądzi. — Bylbym ustąpił przed wyrokiem Cecylii, ale po co komedia? Trzebaż abym raz pierwszy, raz jeden pokochał, i między tysiącami kobiet niewinnych, szczerých, trafił na takiego szatana!

Wśród podobnie czarnych rozmyślań, wpadł Wiesławowi w rękę niedawno zaczęty dzienniczek. Rzucił okiem na pierwszą kartkę i z podziwieniem spostrzegł datę: *środa, 16-go czerwca*.

— Czy być może? Więc toby dopiero był tydzień?

Tak, — to dopiero był tydzień.

Wziął pióro, i przy dogorywającej lampie, której czerwone światło walczyło ze świtem, dopisał: *Środa, 23-go czerwca* — o 4-éj z rana.

— Kiedy ten dziennik zaczynałem, zdawało mi się że grubość książki nie starczy na dzieje mego serca. Dziesiątej stronki nie zacząłem, a już niema co pisać. Wszystko się skończyło. Na zbudowanie szczęścia trzeba nieraz lat. Na jego zniszczenie dosyć kilku dni. O wy, na których

sercu chciałem szczęście budować, niech wam Bóg przebaczy! Może i ja kiedyś przebaczę. Dziś nie chcę wam złorzeczyć, ale nie chcę was i oglądać. Odjeżdżam, aby nie wrócić. Niech ten wyjazd bez pożegnalnego słowa, ani znaku, padnie wam na duszę, jak ciężkie pytanie!

XI.

Po bezsennéj nocy, zapragnął zmiany miejsca, powietrza i ruchu.

Wypadało pójsz do biura, opowiedziec się z nagłym wyjazdem, ale było jeszcze zawczesnie, puścił więc wodze bezcelowej wędrowce.

Wydawała się ona bez celu, jednak serce go prowadziło.

Zaszedł do Wierzbna. Tam pierwszy raz ją spotkał! Śliczne i wesołe to ustronie zrobiło na nim wrażenie cmentarza.

Zszedł do Łazienek. Przywykły widziec je przy oświetleniu i ruchu wieczornym, ledwo mógł wśród nich się rozpoznać. Pustki poranne, uroczne na dzikim polu albo w lesie, tu raziły przy dworszczyźnie gracowanych ścieżek i wykwintnych mostków. Pałac wyglądał jak zaklęty.

Wiesław siadł nad wodą, ale łabędzi nie było widać, a posągi, co o zmroku tak śmiało opowiadały mu swoje pogańskie miłości, o tej godzinie zdawały się wstydzic i zamrużać oczy przed oslepiającym wschodem słońca.

Samolubna swoboda przyrodzenia ubodła młodzięca. Wobec ruchliwych, sobą tylko zajętych żywiołów, nie chciał dłużej rozwodzić swojej człowieczej, niesłuchanej skargi. Wstał i drogę powrotną skierował na Botaniczny ogród, koło grobowca Metelli. Szedł tamtędy umyślnie; jak Mucyusz Scevola, chciał cierpieniu dowiedzieć że go się nie lęka, chciał serce przepyzyczać do wrażeń, palących jak czerwone węgle.

Kiedy jednak przechodził koło pamiętnej ławki, zasłonił oczy i przyspieszył kroku.

Biuro zastał już w pełnym ruchu.

Shczęśliwym trafem, posiadał urlop dawniej sobie udzielony. Obawa niewidzenia Cecylii, choćby przez dni kilka, nie pozwoliła mu dotąd zeń korzystać, ale teraz mógł każdego dnia wyjechać; przyszedł tylko ostrzedz swojego zwierzchnika.

Był to człowiek prawy, o surowej twarzy i chłodnym obejściu. Dziś jednak, spojrzawszy na Wiesława, powiedział mu z niezwykłą dobrocią:

— Jedz pan. Kto tak sumiennie pracuje, może i powinien czasem wytchnąć. Ale te interesa, dla których nas porzucasz, musiały cię nabawić zmartwienia, boś fatalnie zmieniony. Wróc nam, panie Rózycu, weselszy.

I podał mu rękę, czego jeszcze nigdy nie uczynił.

Wiesława, który czuł się od wszystkich opuszczonym, ten mały dowód współczucia od obcego człowieka wzruszył więcej, niżby go w szczęśliwej chwili wzruszyły największe czulości. To też wychodząc, obejrzał się z rodzajem żalu, myśląc sobie: — Ten poczciwy człowiek ani się spodziéwa, że ja tu może już nie wrócę.

Z biura wstał do kilku sklepów. Nie chciał się na wsi pokazać bez gościńca. Wybiérajac upominki dla matki, ojca i domowników, uśmiechnął się smutnie; porównał swoje dzisiejsze wrażenia ze wspomnieniami lat dziecinných, kiedy to całą noc spać nie mógł, ile razy przygotowywał dla rodziców tak zwaną siurpryzę, jakie szumne deklamacje, albo klójone kostiumy. — Choć taki młody, miał już za sobą przeszłość. — Cóż to będzie — pomyślał — za drugie lat dwadzieścia? Może także uśmiechnę się nad wrażeniami, co dzisiaj sen mi odbierają...

Dobrze po południu wracał obładowany do domu i już zamierzał wkrótce wybrać się na kolój, kiedy żona stróża zabiegła mu drogę.

— Proszę pana, ten pan, co to taki brzydki, był tutaj i czekał na pana długo, długusienko. A potem powiedział że musi już odejść, ale zostawił karteczkę i bilet.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

Ludwika królowa pruska.

Każdy, komu nieobcą jest historia wojen Napoleońskich, a mianowicie owęj pamiętnej kampanii, która w ciągu kilku tygodni obaliła potężną monarchią, stworzoną geniuszem Fryderyka Wielkiego, przypomnieć sobie musi postać bohaterki i nieszczęśliwej królowej Ludwika, najsympatyczniejszej i najpodnioslejszej w dziejach tego biurokratycznego państwa. W dniu 10 marca r. b. obchodzono w Prusach 100-letnią rocznicę urodzin tej jedynej, jasnej gwiazdy, jaka oświeca surową atmosferę dziejów domu Hohenzollernów. Córka ks. Karola Ludwika meklembursko-strelieckiego, urodziła się królowa Ludwika w Hanowerze, 1776 roku. W szóstym roku życia utraciła matkę, księżniczkę hesko-darmstadtzką. Wraz z trzema siostrami, Ludwika wtedy oddana została pod opiekę panny von Wolzogen, osoby wysoko uzdolnionej i pełnej zalet. Macocha, w której sieroty znalazły troskliwą matkę, zmarła po krótkim pożyciu z księciem, i skutkiem tego dzieci przeszły pod opiekę babki, landgrafowej Maryi Ludwika.

Przewodniczką małych księżniczek została Szwajcarka, panna Gélieux, która, pochodząc z francuskiej Szwajcaryi, udzielała im po francuzku wszystkich nauk. Tym sposobem Ludwika już w dzieciństwie nabyła biegłości we władaniu językiem, który wówczas, może więcej jeszcze niż dzisiaj, stanowił uprzywilejowaną mowę klas wyższych w całej niemal Europie. Ojczysty język w wychowaniu ich całkiem był zaniedbany, tak iż dopiero później znacznie, już jako królowa, musiała Ludwika uzupełniać ten brak, przez pilne studia nad pisarzami niemieckimi.

Jakkolwiek wychowanie młodej księżniczki było wyłącznie francuzkie, nie wpłynęło to jednak na nadanie jej wykształceniu charakteru salonowej powierzchowności. Ludwika, która do końca życia przechowywała żywą wdzięczność dla swjej nauczycielki, często bardzo później oświadczała, iż zawdzięcza jej zwrot umysłu ku rzeczom wyższym. Z prawdziwą, pełną prostoty religijnością i serdecznym współczuciem dla cierpienia bliźniego, w towarzystwie swjej przewodniczki śpieszyła młoda dziewczynka rozdzielać szczupłe swe zasoby pomiędzy biednych i cierpiących. Ciężkie ciosy losu, jakie spadały na rodzinę księżęcą, nie mało zapewne przyczyniły się do wyrobienia w Ludwice tej powagi charakteru, która jednak, jak to zwykle bywa w zdrowych i bogatych w przymioty umysłach, nie wyłączyła dziecięcej niemal wesołości i pochopu ku rozrywkom wiejskiego życia.

Szerszy horyzont roztworzył się przed oczami młodocianej księżniczki podczas pierwszej większej podróży, odbytej pod opieką babki. Odwiedzisz mieszkającą w Strasburgu ciotkę, małżonkę Maksymiliana księcia Dwóch-Mostów, późniejszego króla Bawaryi, udały się podróże z biegiem Renu do Niderlandów. Prześliczne okolice nadreńskie, ludne miasta niderlandzkie i wspaniała piękność morza żywe na młodym umyśle wywarły wrażenie. Z Darmstadtu robiono częste wycieczki do pobliskiego Frankfurtu. Ludwika była tam świadkiem dwóch ostatnich koronacji cesarzów niemieckich (1790 i 1792) i spędzała wraz z siostrami niejedną wesołą godzinę w domu rodziców Goethego. Przez dłuższy także czas bawiła z babką w Hildburghausen, gdzie mieszkała starsza jej siostra, zaślubiona z panującym tam księciem.

Chwile przebyte wśród okolic powabnej Turyni niezatarte zostały w jej umyśle wspomnienia, a jeszcze pamiętniejszym stał się dla niej powrót na wiosnę 1793 r., gdy landgrafowa z Ludwiką

i jej młodszą siostrą wstąpiła po drodze do Frankfurtu, dla powitania swego siostrzeńca, Fryderyka Wilhelma III króla pruskiego, który tam miał główną kwaterę, z powodu rozpoczynającej się pierwszej wojny przeciw Francji. Babka przedstawiła wówczas królowi obie swe wnuczki. Podczas wieczery, na którą po widowisku zaprosił król młode kuzynki, siedemnastoletnia Ludwika, promieniejąca całym blaskiem urody i wdzięku, wywarła tak silne wrażenie na następcy tronu, księciu Fryderyku Wilhelmie, iż pierwsze to spotkanie rozstrzygnęło stanowczo o jego wyborze. U młodzieńczej też Ludwika wzajemność łatwo się rozbudziła, a że jednocześnie młodszy brat następcy tronu, ks. Ludwik, uległ urokowi drugiej jej siostry, Fryderyki, przeto w miesiąc później obchodzono w Darmstadtzie uroczystość podwójnych zaręczyn.

Podczas przedsięwziętej wtedy wyprawy na lewym brzegu Renu, obiedwie księżniczki, odwiedzając swoich narzeczonych, miały sposobność poznać ruchliwe obozowe życie. Goethe, bawiący wówczas przy głównej kwaterze, w ten sposób opisuje owe odwiedziny: „Ku wieczorowi miłszy, ja przynajmniej, nadzwyczaj miłe i wdzięczne widowisko; księżniczki meklemburskie były na obiedzie w głównej kwaterze u króla, a następnie zwiędzały obóz. Schowawszy się pod namiot, mogłem swobodnie przypatrzeć się dostojnym osobom, które tuż koło mnie kilkakrotnie przechodziły. Śród tego wojennego zgiełku, obie młode damy wyglądały jak niebiańskie zjawiska, których wrażenie nigdy się w mej duszy nie zatrze.“

W końcu tego roku powrócił następca tronu do Berlina. Narzeczona jego także tam wkrótce przybyła wraz z siostrą, zaślubioną już księciu Ludwikowi, i doznała najświetniejszego przyjęcia od ludności miejskiej. Sama już zewnętrzność księżniczki, jej piękność i niezwykły wdziek, połączone z dobrocią i uprzejmością młodocianego oblicza, jednały jej wszystkie serca. Nawet taka sztywna choć zacna zresztą osoba, jak pani Voss, mistrzyni dworu młodej księżniczki, mimo całego zgorznięcia, jakie w niej budzi dziecięca prostota i swoboda Ludwika, nie może oprzeć się czarowi jej wdzięków i zalet. Gdy podczas wjazdu do Berlina, w olbrzymiej tryumfalnej bramie, osiemnaście biało ubranych dziewcząt otoczyło księżniczkę wienem kwiatów i powitało odpowiednim wiérsem, Ludwika małą deklamatorkę wzięła do powozu, ściskając ją i osypując pieśczętami, wśród nieopisanego zapału zachwyconej tém ludności. Zgorziona tą sceną mistrzyni, siedząc naprzeciw księżniczki, zawołała z oburzeniem: „Mój Boże, co też wasza królewska wysokość uczyniła! To się sprzeciwia wszelkim prawom etykiety.“ „Jako, więc mi tego czynić nie wolno?“ odrzekła naiwnie zdziwiona Ludwika. Jednakże w osiem dni później pisała surowa strażniczka etykiety w swoim dzienniku: „Księżniczka rzeczywiście jest godna uwielbienia; tak dobra i powabna zarazem, jak anioł.“ Potem zanotowała jeszcze: „Im bliżej poznaję księżniczkę, tém więcej czuję się ujętą jej szlachetnością i anielską dobrocią serca.“

W wigilię Bożego narodzenia odbył się ślub młodej pary w białej sali królewskiego pałacu, poczem nastąpił cały szereg uroczystości. Największą jednakże rozkosz sprawił nowożeńcom cichy tryb życia w domowym kółku. To pożycie, napiętnowane miłością i wiernością wzajemną, żywo odbijało od lekkomyślności, cechującej życie klas wyższych społeczeństwa ówczesnego. Wielki świat pruskiej stolicy przedstawiał się dość świetnie nazewnątrz. Były to chwilerozkwitu literatury niemieckiej i zamiłowanie do estetyczno-literackich przyjemności ogarnęło zarówno młodzież męską, jak i wyższe umysłem kobiety. Szkoda tylko że wraz z duchowym marzy-

cielstwem szerzyła się i zmysłowość, skutkiem której surowość dawnych obyczajów ustąpiła miejsca wyrafinowanej swywoli. Wiadomo iż za czasów Fryderyka Wilhelma II i dwór sam uległ ogólnemu zepsuciu, dostarczając niejednokrotnie powodów do skandalicznych opowieści. Następca tronu jedynie, wraz ze swą ukochaną Ludwiką, stanowili świetny wzór staromieszczańskiej cnoty i prawdziwie rodzinnego życia. Składało się na to zarówno czyste i pobożne serce księżny, jak zacny i głęboko religijny charakter jej małżonka. Fryderyk Wilhelm godzien był zaiste posiadać tę najszlachetniejszą z ówczesnych kobiet i zasługiwał na szczęście, jakie mu ona przyniosła.

Wbrew obyczajom dworskim, zachował Fryderyk w stosunkach z żoną niezwykle podówczas na dworach „ty“ i ku wielkiemu zgorznięciu mistrzyni dworu nie pozwalał, by więzy ceremoniału i wystawności dworskiej krępowały wesołość i serdeczność domowego pożycia. „Zanadto jestem i tak zewsząd ścieśniony i udręczony, powtarzał, bym jeszcze w domowym życiu miał się wyrzec tej swobody i niezależności, jaką każdy prywatny człowiek się cieszy.“

Najszcześliwszą czuła się młoda para w wiejskim odosobnieniu. Ponieważ w Oranienburgu, darowanym przez króla Fryderyka Wilhelma II wysoko poważanej synowej, pobyt nie przedstawiał dość swobody i ciszy, urządził sobie następca tronu dobra Paretz nad Hawlem na letnie pomieszkanie. Tu dzielił on z ukochaną Ludwiką proste rozrywki cichego wiejskiego życia, nadając sobie żartobliwą nazwę „sołtysa pareckiego“, żonę zaś „wielmożnej dziedziczki Paretzu.“ Niejednokrotnie para książęca żywo brała udział w dożynkowych zabawach i tańcach wieśniaków; w czasie dorocznych świąt i jarmarków młoda „dziedziczka“ obchodziła w gronie dziatwy wszystkie budy kramarzy, by obdarzać drobnymi podarkami swój orszak, poufale wykrzykujący: „I mnie też co dajcie, pani królowo!“

Ludwika nie zaniedbywała nigdy sposobności wyświadczania ubogim dobrodziejstwa, lub przyniesienia pociechy cierpiącym. Król Fryderyk Wilhelm II, szacząc ją zwykle mianem „księżnej nad księżniami“, zapytał jej raz w dzień urodzin, gdy została osypana licznymi darami, czyby nie miała jeszcze jakiego życzenia. Następczyni tronu odrzekła, iż pragnęłaby pełnej garści złota, dla rozdzielenia go między biednych całej stolicy. Król, uśmiechnąwszy się, spytał jak wielką ma być owa garść, na co Ludwika odrzekła: „Tak wielką, jak serce najlepszego z królów.“ Rad nierad, musiał król zastosować się do tego życzenia.

Gdy małżonek jej po śmierci ojca (6 list. 1797 r.) wstąpił na tron królewski, młoda królowa, pisząc do babki, powiada iż najwięcej się cieszy nadzieją szerszego i swobodniejszego świadczenia swych dobrodziejstw.

Ludwika teraz stała na szczycie szczęścia; rzadko która królowa może się poszczycić podobną miłością i szacunkiem u wszystkich warstw ludności. Jedni błogosławili jej imię z powodu odebranych dobrodziejstw, jakie w cichości bezustannie świadczyła; drudzy wielbili ją za pełne wdzięku i uprzejmości obejście w stosunkach ze wszystkimi; inni znowu widzieli w swjej monarchini podniosły wzór cnot kobiecych, a poeci i artyści piórem i pendzlem składali hołd najpowabniejszej z kobiet swego czasu. Mimo to, według zdania współczesnych, żaden malarz nie mógł uchwycić podobieństwa jej rysów, a głównie odtworzyć ujmującego wyrazu oczów, pełnego dobroci i rozumu. Stary Scheffner twierdzi, iż nie spotkał u żadnej kobiety tak czystego i swobodnego spojrzenia, takiego wyrazu dziecięcej niemal prostoty. „Królowa“, pisze jedna Angielka w 1800 r., urzeczywistnia wszystkie nasze

młociane marzenia o młodej, pięknej i uroczej królowej z „Tysiacy i jednej nocy.“ Z anielską łagodnością, wdziękiem i powabem, łączy wyniosłą i wysmukłą postać, jasny włos, delikatną cerę i nieopisanie przyjacielski wyraz oczu.“ Dzięki tej harmonii zewnętrznych i wewnętrznych zalet, a zwłaszcza swęj ujmującej uprzejmości, stanowiła królowa prawdziwe ogniwo między zimnym i małomównym królem, a narodem. Gdzie tylko trzeba było dziękować, odpowiadać, reprezentować królewski majestat, tak w kraju jak i w świeżo przyłączonych prowincjach polskich (1), tam Ludwika wyręczała swego małżonka, jednając sobie wszędzie uwielbienie i przywiązanie.

Po wstąpieniu na tron, nie zmieniła para królewska swego poprzedniego trybu życia, i jak w Berlinie obrała sobie za rezydencją dawniejszą swą księżęcą siedzibę, tak również, o ile na to obowiązki monarsze pozwalały, przebywała najchętniej w Potsdamie, Charlottenburgu i Paretnu. W 1795 r. powiła królowa syna Fryderyka Wilhelma, przyszłego czwartego króla tego nazwiska; w 1797 r. przyszedł na świat Wilhelm obecny cesarz niemiecki. W następnych latach, prócz dwóch wcześniej zmarłych córek, przybyli jeszcze dwaj synowie i trzy córki. „Najgorętszym i najmiłszym mem życzeniem—pisze Ludwika w 1797 r.—jest wychować moje dzieci na prawdziwych przyjaciół ludzkości i mam tę błogą nadzieję, iż celu tego dopnę.“

Wolne chwile od zajęć, jakich wymagało wzorowe prawdziwie wychowanie dzieci, poświęcała uprawie własnego umysłu, przyswajając sobie z chciwością wszystko, co tylko dobrego i pięknego pojawiło się na polu literatury. Ze szczególnym upodobaniem oddawała się studyowaniu niemieckiej poezji, będącej wówczas w swym najpiękniejszym rozkwicie. Herder, Goethe, Schiller, Jean Paul zajmowali ją najwięcej. Ten ostatni, który swego „*Tytana*“ poświęcił „czterem pięknym i szlachetnym siostronom na tronie,“ i wcześniej zgasiła królową Ludwikę uczcił w „*Kwiatach jesiennych*,“ pisze w 1800 r. do Wejmaru, że królowa [nie wyruszy nigdy w podróż bez dzieł Herdera. Jakkolwiek w późniejszych latach podziwiała mistrzowską doskonałość Goethego, jednakże żałował patriotyczny i miłość wolności, wiejące z ostatnich utworów Schillera, daleko więcej przypadały do jej usposobienia. Jakże pragnęła skłonić twórcę „*Dziewicy orleańskiej*“ do osiedlenia się na stałe w Berlinie! Prócz tego czytywała w przekładach tragików greckich, Szekspira i najznakomitsze dzieła historyczne. Czytanie to nie było dla niej samą tylko rozrywką, lecz służyło do uszlachetnienia ducha i wyrobienia charakteru królowej; żadne słowo, żadna myśl autora nie przechodziła bez wpływu. Jakkolwiek była szczerze wierzącą chrześcianką, jednakże w niektórych późniejszych listach widać pewne sympatyje dla poglądów starożytnych myślicieli. Zawsze jednak jej zapatrywania się na świat miały za podstawę głęboką religijność. To też w słonecznych dniach szczęścia duch jej zachowywał swą siłę, sprężystość i bohaterką gotowość do znośnienia z uległością ciężkich ciosów losu, które wkrótce na cały naród i rodzinę królewską spaść miały.

Fryderyk Wilhelm III, przy swym uczciwym i prostym charakterze, przy zamiłowaniu porządku, punktualności i skromności w życiu, nie posiadał bystrego umysłu, a co ważniejsza, ufności w siebie i stanowczości w położeńiach, wymagających szybkiego i z własnej inicjatywy płynącego działania. Nie odebrał starannego wychowania, przyzwyczajony do obcowania z ograniczonymi umysłowo i słabymi choć uczciwymi ludźmi, czuł pewien wstręt do każdego wybitniejszego charakteru. „Wszyscy co go wychowali i otaczali, co mu służyli, powiada kobieta znająca wybornie ówczesny dwór berliński, byli to ludzie słabi, paralizujący, tamujący czyny króla i odbierający mu ducha i energię.“

Tymczasem państwo pruskie w owym czasie wymagało innego wcale kierownictwa. Nie wystarczała tu sama troskliwość o porządek i oszczędność w administracji, o co dbał młody monarcha, nie wystarczało wspieranie i szerzenie prawdziwej pobożności, na miejsce hypokryzy, do której prowadził edykt Wöllnera; tu bowiem trzeba było zleniwić maszynę państwową zapomocą gruntownych reform nowem natchnąć życiem, a przedewszystkiem ster polityki zagranicznej w silne powierzyć ręce. Król jednakże, ze wstrętu przed wszelką radykalniejszą zmianą, zwłaszcza w wydziale spraw zagranicznych i tajnym gabinecie zachowywał ludzi takich, jak Haugwitz i Lombard, którzy swym nierozumem i tchórzostwem wprowadzili państwo Fryderyka Wielkiego na bezdroża. Nie wchodząc w szczegóły tak słusznie osławionej polityki pruskiej z końca ubiegłego i początku bieżącego stulecia, potrącić tu jednak musimy o kilka faktów.

Po wybuchu rewolucji francuzkiej i groźnym zwróceniu się propagandy rewolucyjnej po za granice Francji, Prusy łącznie z Austrią wystąpiły do wspólnej walki, z której wycofały się przez pokój zawarty w Bazylei. Odtąd monarchia pruska, wobec wojen zmieniających kartę Europy, zachowywała chwiejną, neutralną postawę, z której nietylko że jej nie wyruszyły ciosy zadane ówczesnym państwom niemieckim, ale nawet bezpośrednie zagrożenie swojemu własnemu honorowi i potędze. Wypadki 1803 i 1804 r. nie pozwalały się ludzi co do zamiarów Napoleona, wobec rosnących pretensyj szczęśliwego zdobywcy; wtenczas już należało rządowi pruskiemu, zamiast być igraszką francuzkiej polityki, wystąpić do stanowczej walki. Jak wiadomo, król, pobudzony przez stronnictwo patryotyczne, cieszące się poparciem królowej, zdecydował się wreszcie na zwrot swęj polityki i wszedł w bliższe stosunki z mocarstwami sprzymierzonymi przeciw Francji. Odrzucono wprawdzie ludzkie obietnice i propozycje przymierza przez Napoleona czynione, lecz mimo to o czynnym udziale w wojnie niebardzo myślano, zwłaszcza że postępowanie Rosyi i Austrii nie zachęcało ku temu nowego sprzymierzeńca. Dopiero otwarte naruszenie pruskiej neutralności podczas kampanii austriackiej w 1805 r. dało w Berlinie chwilową przewagę partyi wojennej. Na grobie Fryderyka Wielkiego podali sobie ręce cesarz Aleksander i Fryderyk Wilhelm III, zobowiązując się do przymierza przeciw Francji. Na nieszczęście, gdy wypadło przesłać ultimatum Napoleonowi, król powierzył tę wielką wagę misyą nędzemu Haugwitzowi. Wiadomo jak on się z tego zadania wywiązał. Przetrzymany przez cesarza aż do stanowczej walki pod Austerlitz, zmienił chwiejny i niepomyślny swych obowiązków dyplomata groźną wojną ultimatum w wynurzenie powinszowań, z okoliczności świeżego zwycięstwa, i następnie wszedł z Napoleonem w układy, co do których, z początku mianowicie, własnego monarchę mylnie informował. Tymczasem Napoleon, zrzuciwszy maskę wobec Prus, rozpoczął szereg upokorzeń i wyzywających postępów, w skutek których król, mimo najniekorzystniejszych warunków, zdecydował się nareszcie na wypowiedzenie wojny zwycięzcy.

Rozważny monarcha nie lękał się ani na chwilę co do strasznego niebezpieczeństwa, jakie nad Prusami wisiało, mimo wojowniczego i pewnego zwycięstwa usposobienia patryotycznej partyi w Berlinie, a przytęm nadziei obiecanęj pomocy Rosyi. Napoleon tymczasem pałał żądzą zniweczenia od jednego ciosu państwa, któremu tak długo schlebiał, w nadziei przysposobienia sobie północne Niemcy w ten sposób ujarzmić i urządzić, jak południowe i południowo-zachodnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Biblioteka Donkiszota.

(Rys z dziejów literatury hiszpańskiej w w. XVI).
przez Emila Gebhart'a.

Don Kiszot, pokonany wczoraj, zbitý potężnie przez mulnika, zasnął był mocno na łóżku: we śnie widział arcybiskupa Turpina i dwunastu parów Karola Wielkiego. Proboszcz, cyrulik, siostrzenica i guwernantka weszli cichuteńko do jego biblioteki. Było tam sto z górą tomów wielkich i tyleż małych, wszystkie porządnie oprawne: cała rycerska i sielankowa literatura hiszpańska. Owe cztery osoby nie lubiły wcale ideału, nie pojmowały zupełnie wzniosłych marzeń wujaszka Don Kiszota; postanowiły więc, że ponieważ książki przewróciły mu w głowie, przeto książki spalić trzeba. Guwernantka pobiegła po naczynie z wodą święconą i po kropidło. Proboszcz usmiechnął się z prostoty tej zacnej duszy; nie chciał on winowajców bez sądu, na los szczęścia, wyrzucić na podwórze: cyrulik podawał mu książki po kolei, a on, jako człowiek uczony i dobry teolog, oszczędzał najcenniejsze z nich, a nawet ocalił od stosu i te, których grzechy nie były śmiertelnymi.

I.

Ustęp ten cenną jest wielce wskazówką do zrozumienia literatury hiszpańskiej w wieku XVI. Dodawszy do tego rozmowę w zajeździe, przerywaną przez rycerza, rabiącego mieczem beczki z winem gospodarza, i rozmowę kanonika i proboszcza, eskortujących klatkę zaczarowanego bohatera, zdołamy wyróżnić z całego ciągu romanu jedną z głównych jego części, a mianowicie krytyczny pogląd Cervantesa na ludową literaturę jego kraju. „Don Kiszot“ bowiem nie jest jedynie melancholiznym nieco obrazem przygód i niefortunnych wypadków zacnego człowieka, opanowanego niepowściągniętym szałem, mędrca, którego miłość rzeczy szczytnych szaleńcem uczyniła; uwydatnia on obok tego chwilę, w której Hiszpania, wmieszana przez politykę w intelektualne życie Europy i Włoch, wprowadziła do utworów umysłowych smak nowy i zakosztowała pierwszych owoców odrodzenia.

Nie było w całym chrześcijaństwie, w wiekach średnich, narodu bardziej rycerskiego; rycerskość była dlań źródłem życia. Podczas gdy inne narody zachodnie ciągnęły na krucjaty do ziemi świętej, nad Bosfor, albo do Egiptu, Hiszpania na własnej ziemi wiodła przez siedemset lat wojnę krzyżową z islamizmem. Podczas gdy Europa wysyłała się na wzniesienie chwilowego królestwa jerozolimskiego i lacińskiego cesarstwa w Konstantynopolu; podczas gdy państwo rzymskie i stolica apostolska oddane były walce zaciętej, rasy chrześcijańskiej na półwyspie iberyjskim, opuszczone od reszty świata, zapomniane, walczyły z ludem fanatycznym a wykształconym, panem najpiękniejszych prowincyj, dumnym z wyrafinowanej swęj cywilizacji. Uczeń arabscy z Toledo i Korduby, kontynuatorowie Averroesa i Avicenny, których doktryny wstrząsały uniwersytetami scholastycznymi i mąciły spokój kościoła, musieli z nadzwyczajną pogardą spoglądać na te hordy górali, które napadały na wonną *huertę* Walencyi, paliły gaje cytrynowe i brutalnie przerywały uczone prace komentatorów Arystotelesa. Ci barbarzyńcy, których wiodła do boju wiara niezłomna, przekonani byli najsiłniej, że niebo walczy za ich sprawę: św. Jakub *Matamoros*, który pierwszy przyniósł światło ewangelii do Hiszpanii, ukazywał się często na czele ich jazdy, a śmierć kłusowała po prawicy apostoła. Cyd Campeador, zmarły od kilku już dni, podtrzymywany przez towarzyszy na swoim rumaku, wygrał jeszcze jedną bitwę: święty Jakub i Cyd byli pierwszymi ludowymi bohaterami hiszpańskimi. Ale bohaterkie ich legendy nie mogły nasycić wyobraźni tego ludu, wikłającego się w wojny bez końca. Przypomniał on sobie Karola Wielkiego, króla Franków, cudownego cesarza z „bro-

(1) W Warszawie była cztery razy wraz z mężem: w 1798 r. (dwa razy), w 1802 i 1805 r.

dą kwiecistą (*à la barbe fleurie*), mającego dwieście lat, którego rycerze w wawozach pirenejskich cudów waleczności dokazywali. Wyłomem z pod Roncevaux epopeje francuskie dostały się do Hiszpanii. W XII wieku w „kronice“ (*Cronica General*) Alfonsa X-o i w „kronice hiszpańskiej“ (*Chronica Hispaniae*) Rodryga z Toledo, pojawia się historia francuskiego Rolanda, ze zmianami wprowadzonymi w nią przez wyobraźnię kastylską. *Historia de l'emperador Carlomagno* zachwycała umysły tak samo, jak romans o Cydzie. Francuskie *Chansons de geste*, cykl króla Artura, czarodziej Merlin, dwunastu parów, arcybiskup Turpin, Lancelot, święty Graal, z bogactwami rycerską literaturę hiszpańską; pielgrzymi francuzcy do św. Jakuba w Kompostelli przynosili pod swojemi płaszczami epiczne podania Okrągłego stołu, które jednocześnie krzyżowcy krzewili po Wschodzie i Grecyi, a które odtwarzały Anglia i Włochy. Niemcy, znuzone może brutalnym swoim poematem „Nibelungów“, rabowały poetyczne charaktery francuskie, jak Parcivala, Titurela, Lancelota, Hugona z Bordeaux, Trystana, Rolanda, Hugona Kapeta i innych; Wolfram z Eschenbachu i Godfryd ze Strasburga brali nawet większe całe żywce z oryginałów francuzkich. Wiktor de Clerc dowiódł niezbitości tego faktu, któremu długo chępliwość narodowa przeczyła, że Francja średniowieczna była dla całej Europy niewyczerpanym źródłem epopei rycerskiej.

W tej epoce świetności inwencji francuskiej na Zachodzie i na Wschodzie przeważnie występuje myt o stole Okrągłym, to jest romans przygodny, romans fantastyczny, romans miłosny. Pierwsze rycerskie śpiewy francuskie, w których legenda o Karolu Wielkim główną gra rolę, były przedewszystkiem opowieściami bohaterскими, prostego bardzo pokroju, w które nie wchodziły wcale namiętności tkliwe i w których machina cudowności była bardzo mało skomplikowana. Najdoskonalszym typem tego rodzaju utworów był „Śpiew o Rolandzie“. Poemata Okrągłego stołu rozpoczęły nową tradycją, a najświetniejszym ich okazyem był *Orlando furioso*.

Literatura romantyczna drugiej epoki wieków średnich była dziełem wyobraźni celtyckiej. Ta delikatna rasa Celtów bretońskich, którą smutne niebo usposabiało do marzeń melancholijnych, w której widok morza wiecznie niespokojnego budził nieokreśloną miłość dla krain odległych, nieoznaczonych, dla ziem idealnych, przystępnych jedynie świętym, czarodziejom i bohaterom—dała Europie legendy, które ona się zachwycała, ale które w połowie tylko rozumiała, w których szukała raczej rozrywki, niż zbudowania i podniecia do zapału, i które nareszcie przeobraziła znacznie. Francuzi mówiący językiem *oil*, Hiszpanie i Włosi, dla zaspokojenia swojej ciekawości, dużo żądali od tych legend starych, żądali cudów, ciósów miecza, olbrzymów, czarowników i wrózek, a nade wszystko scen miłosnych. Miłość dla średnich wieków była niemal cnotą kardynalną; niektórzy, jak Amadas, cierpieli na nią długo, w milczeniu, a potem umierali z niej. Trystan i złotowłosa Iseulta, trawieni napojem miłosnym, marnieli i umierali.

Ale żyć, to także dobra rzecz: po mistycyzmie przychodziły chwile radości i wesela. Prąd zmysłowy, przejawiający się już w bajkach i powiastkach średniowiecznych, występuje silnie w romansach przygodnych. We Włoszech, począwszy od Bókacyusza, wzrasta on ciągle i dochodzi szczytu w „Orlandzie“. Na dworze króla Artura bawiono się doskonale. „Zamek miał wielki zastęp dam i rycerzy, i uczyły w nim bywały bardzo sute. Jedli i pili dużo, a kiedy najedli się do syta i gdy zdjęto obrusy, to kuglarze popisywali się z tem, co który umieć. Rycerze grali przy stolach w szachy, w kości, w hazard. Tak wiodą żywot aż do wieczora; potem wieszają arcyrozkosznie. A była tam wielka obfitość ptactwa i owoców, a dobrego wina co się zmiesci.“ (*Le chevalier à l'épée*). Opis ten przypomina obrazy z „Dekameronu“ i daje już przedsmak Rabelais'go. Kościół napróżno protestował przeciw romansowi tego rodzaju; *Chanson de geste* nadaremnie została zaka-

zaną. Bohaterowie tego poematu, Roland na przykład, wesoło wkraczali w cykl czarodziejstwa i galanterii. I galanteria wzięła niebawem górę nad rycerskością. Roland, ani się troszcząc o niebezpieczeństwo w jakim zostawał Karol Wielki i klęskę zagrażającą Paryżowi, obłożonemu przez pogan, bieży w świat za swoją kochanką, gdy Angelika tymczasem oddaje się pięknemu Medorowi. Poezja dawnych wieków konała pod tehem marzenia o rozkoszy, kołyszącego epokę odrodzenia.

(Dokończenie nastąpi.)

WILIAM HERSCHEL.

Karta z dziejów astronomii,

przez

A. Blydowskiego.

Trzy nazwiska najwspanialszym blaskiem jaśnieją na tle dziejów astronomii, nazwiska Kopernika, Keplera i Newtona. Jest jednak czwarte imię, którego wielkość bynajmniej tamtym nie ustępuje: imię Wiliama Herschla. Jeżeli Kopernik „słońce zatrzymał, a ziemię poruszył;“ jeżeli Kepler określił drogi i szybkości z jakimi krążą około słońca planety; jeżeli Newton wykrył przyczynę tych zadziwiających swą harmonią obrotów; to Wiliam Herschel jest godnym ich wszystkich współzawodnikiem. On granice systemu Kopernikowego rozszerzył i pchnął owo unieruchomione przez naszego astronoma słońce w przestrzeń bez granic; on dowiódł że prawa wykryte przez Keplera i Newtona obowiązują nawet w sferach gwiazdowych; on wreszcie odkrył i pokazał ludziom nowe wszechświaty, których istnienia najśmielsza przed nim nie domyślała się wyobraźnia; on spotęgował wzrok ludzki i zakreślił, w jakie sięgać mu wolno, do niepojętych przedtem rozmiarów rozszerzył.

Nie zdarzyło nam się dotychczas czytać w języku polskim obszerniejszego trochę życiorysu Wiliama Herschla, przedstawiającego przystępnie cały szereg jego odkryć. Nazwisko jego osobom pobieżnie tylko obeznanym z dziejami astronomii nasuwa dość chaotyczne wspomnienia ogromnych przezeń położonych zasług. Słyszając je, przypominamy sobie olbrzymi teleskop, odkrycie Uranusa, zmierzanie nieba i policzenie gwiazd, wyjaśnienie znaczenia mgławisk; lecz o człowieku samym wiemy niewiele, a o tem że ten człowiek nie wyszedł z uniwersytetów, lecz drogą samouctwa, najwytrwalszą pracą, odmawianiem sobie spoczynku i zaspokojenia pierwszych potrzeb wywalczył sobie takie królewskie stanowisko w nauce, o tem w ogólności nie wiemy wcale. W ostatnich czasach powstała nawet i z dość wielkim upodobaniem przyjęta została przez niektórych pisarzy teorya, wprost przeciwna twierdzeniu Jean Paula, że „głód najczęściej tworzy arcydzieła,“ teorya utrzymująca, że największy geniusz zmarnieć musi w walce z niedostatkiem środków, że tylko posiadając te środki i rozporządzając niemi, może tyle zdziałać, ile powinien. Życie Wiliama Herschla jest jednym z najkategoryczniejszych tej teoryi zaprzeczeń. Nietylko niepodobna przypuścić, ażeby jeden człowiek mógł w ciągu długiego nawet życia zrobić dla nauki więcej od niego, chociaż w twardych początkach swojego zawodu kraść musiał chwile na kształcenie się i z mozołem niesłychanym wszystko sobie zdobywać; ale nawet wprost twierdzić można, że nigdyby on może nie był tak wielkim, nigdyby takich odkryć nie dokonał, gdyby w młodszym swych latach walczył z niedostatkiem, ciężko na chleb pracować nie był zmuszony.

Twierdzenie to postaramy się udowodnić w tym krótkim zarysie życia i obrazie odkryć naukowych Wiliama Herschla, którym się dzisiaj z czytelnikami dzielimy, a do którego napisania na podstawie źródeł w językach obcych, zachęcił nas brak w języku naszym obszerniejszej biografii tego znakomitego męża.

Wiliam Herschel był synem tego z nowoży-

nych narodów, który stosunkowo najwięcej ze wszystkich ludów cywilizowanych wydał znakomitych abstrakcyjnych myślicieli, a najmniej praktycznych odkrywców: był Niemcem z urodzenia, chociaż całe życie jego wyłącznie należy do Anglii (1). Urodził się w Hanowerze 15 listopada 1738 roku. Rodzice jego byli niezamożni, znani jednakże dość zaszczytnie w świecie muzycznym ówczesnym. Mieli czterech synów, z których Wilhelm był drugim. Sławy którą sobie zdobył nie dzielił z nim żaden z jego braci, podzieliła ją jednak o osiem lat młodszą siostrą Karoliną, która mu dzielnie dopomagała w pracach jego naukowych i odkryciach. Ponieważ młodym będąc, Wilhelm okazywał wielkie zdolności i niesłychany zapal do nauk, rodzice więc starali się dać mu wykształcenie staranniejsze niż braciom i przyjęli do niego nauczyciela. Szczupłe jednak ich fundusze nie pozwalały, ażeby ta nauka trwała długo.

W młodym już wieku, bo w 12 roku życia, Wilhelm Herschel udał się wraz z ojcem do Anglii. Tam, wykształciwszy się w muzyce, otrzymał pierwszą lepszą posadę, jaką mu ofiarowano. Było to miejsce kapelmistrza kapeli wojskowej hrabiego Darlingstona.

Mając na tem stanowisku więcej czasu do rozporządzenia, młody Herschel, którego odtąd nazywać będziemy imieniem, później tak wsławionym, Wiliama, poświęcał wszystkie wolne chwile nauce i w krótkim stosunkowo czasie posiadał dokładnie umiejętność sześciu języków starożytnych i współczesnych. Jednocześnie kształcił się w naukach matematycznych, studiował astronomię i optykę.

W r. 1765 postawiono nowe organy w kościele w Halifax. Pragnąc polepszyć swój byt, Wiliam zaczął się starać o posadę organisty, którą otrzymał, ale na której nie pozostał długo. Zmuszony potrzebą, po utraceniu posady, dał następnie kilka koncertów w mieście Bath, sławnym już podówczas ze swoich wód mineralnych i odwiedzanym licznym przez świat eleganckim. Koncerty te miały powodzenie i zjednały mu posadę organisty w kaplicy zwaną osmiokątną, oraz kilka korzystnych lekcyj, tak że miał znowu chleb zabezpieczony i wolne chwile mógł poświęcać nauce.

Kształcenie się naukowe w owiej epoce po za obrębem uniwersytetów nie było tak łatwe, jak jest obecnie. W literaturze brakowało podręczników. Najlepszymi dziełami były podówczas: *Wykłady* Keilla, miowane na uniwersytecie oksfordzkim w początkach XVIII wieku, kurs zupełny, obejmujący całą teoryę Newtona o materii i ruchu; *Lekcje astronomii* i *Tablice astronomiczne* Jakuba Fergusona, który również drogą samouctwa z pasterza wyszedł na uczonego i umarł członkiem królewskiego Towarzystwa naukowego w Londynie, dzieło popularne i bardzo pożyteczne, ale traktujące raczej o zaćmieniach i przejściach Wenus przez tarczę słońca, zapowiedzianych na rok 1761 i 1769, niż o szczegółach potrzebnych dla początkującego; wreszcie liczne rozprawy, ogłaszane w *Tranzakcjach filozoficznych*, piśmie wydawanym przez królewskie Towarzystwo naukowe i stanowiącym jego organ; te jednak cena zbyt wysoka całego zbioru czyniła prawie niedostępni dla naszego uczonego. Że przy podobnym braku systematycznych ksiąg podręcznych Herschel wykształcił się tak wysoko w naukach tyle zawiłych, jak astronomia i optyka, przypisać to tylko można jego niezwykłej, niczem ugiąć się nie dającej wytrwałości.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

(1) Sami Niemcy, którzy takby pragnęli dowieść, że Kopernik do nich należy, Herschla uważają zazwyczaj za Anglika. I tak dr. J. H. v. Mädler, w dziele *Der Wunderbau des Weltalls, oder populäre Astronomie* (wyd. szóste, Berlin 1867, str. 675), pisze mówiąc o nim, że „Francuzi nie chcieli uznać zasług Anglika.“

(Przyp. autora.)